CENA ZŁ 20

KONGRES ZJEDNOCZENIA



Odra
tygodnik





NUMER 50 (159) KATOWICE, WROCŁAW, SZCZECIN, OLSZTYN, DNIA 12 GRUDNIA 1948 ROKU ROK IV

KONGRES

Uroczysty dzień

Jestem naprawdę wzruszony tym, że nareszcie klasa robotnicza po wielu przeciwnościach łączy się w jeden blok. Cieszę się nie tylko dlatego, że i ja brałem czynny udział w walce klasy robotniczej o wyzwolenie z niewoli kapitalistycznej i znam uderzenia gumowej pałki policyjnej — ale i dlatego się cieszę, że jako pisarz będę mógł przestawić swoją twórczość na inne tory. Dotychczas walczyłem moim piórem o prawo ludzi pracy do życia, do chleba i do słońca dla dzieci robotniczych o prawa do pracy, nauki i kultury dla chłopa. Siłą rzeczy dzieła moje były pesymistyczne, jak pesymistyczne było życie pracujących w Polsce. W okresie powojennym przetrawiałem w sobie obecną rzeczywistość i trudno mi było od razu przejść z twórczości smutnej na radosną. Potrzebowałem nie tylko perspektywy czasu, ale jakiegoś bodźca, jakiegoś wstrząsu, który by pozwolił mi przejść rubikon psychiczny i zrzucić z siebie przeklętą przeszłość, jak zużyte ubranie. Czas mi przyoblec się w nową skórę pisarską, nabrać nowych sił, aby zacząć pisać inaczej, radośniej, a jeżeli walczyć to inaczej o inne sprawy. O nową rzeczywistość polską, o nowe fabryki, maszyny, może o szklane domy a już na pewno o solidne piętrowe, pod dachówką domy wiejskie. Domy w których powinny być i książki i obrazy i biurko i fortepian. O motocykle i samochody dla górników, hutników, o radość i marzenie. Chcę żebyśmy wszyscy zaczęli marzyć o przyszłości, jak ludzie na nowym gospodarstwie. Bo cóż innego jak to, że planowanie jest marzeniem o przyszłości. Z tą różnicą, że marzenie to posiada wszelkie szanse urzeczywistnienia. Będzie to wszystko możliwe tylko dlatego, że klasa robotnicza zjednoczyła się. Siła jej będzie taka, że będzie mogła wszystkie marzenia urzeczywistnić i jak powiedział poeta radziecki: „nasza siła jest taka, że zerwiemy glob i zawiesimy w innej orbicie, lepszej, wygodniejszej, wspanialszej".

JAN BRZOZA
(autor powieści „Dzieci" i dramatu „Stary dzwon", laureat nagrody literackiej miasta Katowic za rok 1948).

Zdrowie klasy robotniczej

Wychowałam się w mieście, którego sercem jest huta. Dniem i nocą słyszałam i czułam potężne serce mojego miasta. Wiedziałam — od kiedy, tego nie pamiętam, że jego siłę syciła twarda ludzka praca.

Kopalnie owinęły czarnym pierścieniem zwarty krąg miejskich ulic. Podziemnymi chodnikami sięgnęły pod ich zabudowania. Dom, w którym rosłam i dojrzewałam, drżał od wstrząsów. I to też wiedziało u nas każde dziecko: trzewiami ziemi targa człowiek, wydobywając węgiel.

Tak. To miasto jest siedzibą ludu roboczego.

W dzień 1 Maja płynęła ulicami czerwień sztandarów i pieśni. Wołała o nowe życie i nowy ład. Zapowiadała bój i zwycięstwo idei, nakazującej braterstwo wszystkich ludzi. Chłonął ją umysł i serce. Kto naprawdę żył w moim mieście, ten sprawy klasy robotniczej ma we krwi.

Droga świata pracy do Polski Ludowej była długa i krwawa. Fakt rozbicia szeregów proletariatu na dwa obozy opóźniał ją, komplikował i mnożył ofiary walki. Zjednoczenie czołowych partii klasy robotniczej PPR i PPS jest dowodem, iż wyciągnięto konsekwencje z doświadczeń, bolesnych, tragicznych, ale nie bezowocnych. Jeżeli bowiem wśród nich dojrzała sprawa zjednoczenia, to mamy w tym dowód zdrowia klasy robotniczej, jej świadomości sił i woli wiodącej do zwycięstwa.

MARTA KLIMAS-BŁAHUTOWA
(autorka powieści „Na hałdach rosną ludzie").

Podwalina rozwoju

Zjednoczenie przodujących polskich partii robotniczych, jako mobilizacja mas pracujących, silne związanie wsi z miastem — chłopa z robotnikiem — w wspólnocie i jedności ideologicznej, to zasadnicza podwalina dalszego i pełniejszego etapu rozwojowego, który ułatwi i udoskonali prace przebudowy strukturalnej nowej, odrodzonej Polski.

Dla pracowników i współtwórców kultury, zatem i dla pisarzy polskich, otwierają się szersze perspektywy twórczości, mocno związanej z ideologią, życiem i potrzebami ludu pracującego i jemu służącej.

JANINA ZABIERZEWSKA
(autorka tomów poezji „Przez śląskie okno" i „Myśli na zwiady". Ostatnio wybór wierszy w „Arkuszu Śląskim").

Jednością silni

Każda wielka idea skupia ludzi, gotowych do wspólnego wysiłku — a cóż dopiero idea sprawiedliwości społecznej, z której wyrasta czyn rewolucyjny.

Dlatego też słusznym jest, że dwie partie robotnicze, mające wspólny cel, łączą się, aby wzmocnić i pomnożyć swoje siły żywotne i równym krokiem, ramię przy ramieniu, maszerować twardą ale jedyną drogą ku socjalizmowi.

Rytm wspólnych kroków i rytm pieśni o przyszłości, rozlega się coraz głośniej ponad lądami i morzami naszej planety — i wkrótce zjednoczona partia całej ludzkości przejdzie pod łukiem triumfalnym na tę drugą stronę życia: spokojnej pracy i lepszego bytowania.

Idea sprawiedliwości społecznej jest wiecznie młodą, jak wiecznie żywą pozostanie „Oda do Młodości".

Hej ramię do ramienia!
Spólnymi łańcuchy
Opaszmy ziemskie kolisko!
Zestrzelmy myśli w jedno ognisko

I w jedno ognisko duchy!
Dalej bryło, z posad świata!
Nowymi cię pchniemy tory...

Natchnione słowa mickiewiczowskie oblekają się w kształt ludzkiej woli i siły, które urzeczywistnią cel: Sprawiedliwość i Wolność, Dobrobyt i Piękno.

WŁODZIMIERZ ŻELECHOWSKI
(autor tomów poezji „Złudzenia", „Po drodze", „Struny świata", „W cieniu brzóz i kominów", oraz szkiców „Trzej budziciele polskości na Śląsku")



Perspektywa Odry

(jm) Dzieje klasy robotniczej polskiej i dzieje czynów robotniczych w latach po wyzwoleniu to najszczytniejsze rozdziały życia naszego narodu. Walka i praca, pojęcia którymi operowano często i na wielu ideowych frontach, tylko w ramach rozwoju polskiej klasy robotniczej znalazły swe pełne i prawdziwe urzeczywistnienie. Od pierwszych strajków po apel zabrskich górników a więc po wspaniały czyn kongresowy, który pociągnął polski świat robotniczy do wielkiego finiszu zjednoczeniowego, kształtuje się obraz zwycięski, pomnażany z roku na rok o nowe barwy i nowe motywy.

A oto już i sam kongres. Jest to nie tylko Kongres dwóch partii robotniczych. Jest to pierwszy wielki kongres całego pracującego narodu polskiego, obrachunek z metodami pracy i śmiały rzut programowy w przyszość bliską i dalszą, kongres socjalizmu, po raz pierwszy w dziejach ciążącego tak znamiennie nad całym życiem polskim. W tym dniu łączą się nie tylko dwie partie robotnicze i zrzeszeni w nich robotnicy czy inteligencja pracująca, w dniu tym łączą się myślą i czynem także wszystkie zawody artystyczne, których talent pomóc ma klasie robotniczej do zapamiętania wielkich jej dni wspaniałych porywów.

Kongres, chwila tak przełomowa w historii Polski powojennej, wytycza także inne drogi naszemu życiu kulturalnemu. Dynamizuje to co jeszcze nieśmiało tylko dotąd próbowało wpływać na jego rozwój. Odrzuca stanowczo i skazuje na potępienie to, co w życiu kulturalnym tworzyło zapory między wytworami kultury a klasą robotniczą, między kierunkiem rozwojowym sztuki a drogą światopoglądową większości narodu. Jest rzeczą niewątpliwą, że dzieje, które doprowadziły do połączenia dwóch największych partii a więc do upragnionej jedności świata robotniczego, będą musiały także doprowadzić do całkowitego pogodzenia spraw kultury i sztuki z nieugiętymi postulatami tego świata. Nie łudźmy się, nie na każdym odcinku dotąd szczęśliwy był mariaż sztuki i kultury z robotniczym ich konsumentem, wina zaś leżała wyłącznie po stronie twórców sztuki i kultury oraz po stronie tych historycznych czynników, które pozwalały lub dążyły świadomie do zaniedbań kulturalnych w świecie robotniczym. Teraz jednak stworzone zostały nareszcie warunki do absolutnej zgodności środków i celów sztuki z interesami świata robotniczego.

Poeci piszą pieśni na zjednoczenie partii, muzycy oprawiają je w melodie, pisarze ogłaszają oświadczenia, plastycy zauważają nagle optymistyczny kształt głowy robotnika, schylającego się po bryłę węgla — niesłychane dotąd rzeczy w dziejach sztuki polskiej. Niesłychane a jednak zupełnie naturalne. Znak to, że u części twórców naszej sztuki i kultury dokonała się przemiana, wypływająca ze zrozumienia historycznej sytuacji narodu, że jedność realizuje się nie tylko na papierze ale i w najgłębszych komórkach mózgu, że problemy jej — określmy nieco górniej — uderzają w struny serc. Upolitycznienie twórcy w takiej sytuacji historycznej jest koniecznością, przed którą nikt uciec nie zdoła, kto pragnie nadal służyć narodowi. Dlatego też nie boimy się i nie bronimy się przed dziełami niedoskonałymi, wiemy bowiem, że hartowanie ideowe twórcy trwa dłużej niż praktyczna gotowość ideowa robotnika. Te dzieła niedoskonałe będą jednak wspaniałym dowodem przemiany, woli zdolnej do wewnętrznego zdyscyplinowania się. Będą dokumentami osobliwej sytuacji psychicznej, stanowiącej dla twórców odskocznię w wolny doskonały świat sztuki uspołecznionej, narodowej w pojęciu najbardziej humanistycznym, ludzkiej i powszechnej.

Oto sens Kongresu dla polskiego świata kultury i sztuki, oto równocześnie nowe prawo twórcy i nowy obowiązek jego dzieła. Rozwój ten nie zazna już zahamowania. I jeśli w pismach literackich ukażą się artykuły o hodowli buraka cukrowego z sylwetkami robotnic na tle falującego pola, to wiedzieć będziemy, że twórcy szukają człowieka, że konfrontują z życiem widziany i coraz lepiej rozumiany przez siebie widnokrąg problemów, że zatem nie jest to żadne przestawienie zadań prasy literackiej ale poszerzenie spojrzenia twórczego. Kongres jest zobowiązaniem dla pisarzy i artystów, jest przypomnieniem, że sztuka i kultura nie kończą się w sobie, że są zaledwie początkiem nowego świata, nowych problemów.

Środowisko skupione wokół „Odry", która w ciągu czterech blisko lat swej działalności prezentowała czytelnikowi polskiemu osiągnięcia kulturalne polskiego Zachodu, jednoczy się całkowicie z myślą robotniczą.





Aleksander Rak: Sojusz

KRYSTYNA WRYCZAN

Grzebień na kołtun

Niemcy byli przynajmniej kulturalni — myślą w Polsce po cichu reprezentanci starego ładu, którym nie w smak obecny stan rzeczy i których niepokoją nowe siły wyłonione przez demokrację. Te myśli dyskretne pojawiają się w połowicznych wypowiedziach, należy je więc chwytać na gorącym uczynku, — za chwilę zaprzeczy się im ze szczerym oburzeniem. Pamięć bowiem bywa krótka, a polski reakcjonista wierzy w swój patriotyzm tak święcie, jak w swego patrona i cofa się tchórzliwie przed szczerością samokrytyki i przed wyciągnięciem ostatecznych konsekwencji. Nie chce on tykać dylematu sprzeczności pomiędzy jego interesem klasowo-osobistym, a interesem narodowym.

Uznanie dla Niemców charakteryzuje nie tylko polskich reprezentantów starego ładu. Cały obóz Marshalla z rozczuleniem patrzy na tak obiecujące dzieciątko niemieckie, które trzeba wzmocnić mleczkiem i sokami owocowymi, aby siły jego z czasem służyły wiadomo jakim celom. W amerykańskim a raczej międzynarodowo-kapitalistycznym planie odbudowy Niemcy mają pierwszeństwo.

Reakcja — polska i niepolska — ma więc wspólną bazę, ale swój pozytywny do Niemiec stosunek wyrażają Nie-Polacy innym słowem niż „kulturalny", a to dlatego, że w Polsce istnieje specjalna predylekcja tego terminu.

„Kulturalny" i „kulturalni", „kulturalnemu", „kulturalnego" — pada co pięć minut na każdym rogu ulicy jedno słowo z tej rodziny etymologicznej. Obcokrajowcy np. Francuzi, Szwajcarzy, Holendrzy lub Czesi — musieliby się czuć upokorzeni, gdyby sądzili, że częstość używania tych słów jest miarą kulturalnych zdobyczy.

„Była tu pani, — widać bardzo inteligentna" powiada jakaś poczciwa dusza, nie mająca bynajmniej pretensji, by być fizjognomistą, który by inteligencję widział i rozpoznawał na podstawie oznak zewnętrznych. Okazuje się, że pani, której wysoka inteligencja tak była wychwalana, miała zgrabnie uszytą suknię i modną fryzurę.

Dotąd istnieje w Polsce kategoria słów takich jak: „inteligentny" „kultura", „dzicz" (anatomia „kultury") itd., których używanie wskazuje na kompletny brak dyscypliny intelektualnej i lingwistycznej.

Jaki jest człowiek kultury? — pytamy na rogach ulic różne „inteligentne" panie, w powiewnych szatach kolportujące wątpliwe to pojęcie. Odpowiedź znajduje się na początku tych uwag: jest taki, jakim był Niemiec, który został stąd wygnany, ale który zdążył przed tym zasugerować swoją „wielkością" osobistej kultury pewien odłam polskiego społeczeństwa, a mianowicie odłam jego polskich współideowców.

Przypomnijmy sobie, jak wyglądało to „kulturalne" ponoć indywiduum, które budziło wokół siebie strach i nienawiść, pomieszaną u niektórych z respektem. Był on zawsze starannie ubrany, z włosami gładko przyczesanymi, z butami wyglancowanymi, militarnie sztywny w ruchach, układny i grzeczny w obejściu. On sam za chwilę i w innej instytucji stawał się krwiożerczym brutalem, który chwytał za nogi dziecko (niższej rasy), by rozbić małą główkę o mur. Gdyby go ktoś spytał, jak może być w pewnej chwili grzeczny i gładki, by w chwili następnej stać się nieprawdopodobną bestią, odpowiedziałby zapewnie, wyprostowawszy się jak struna z dumą wypełnionego obowiązku, że Befehl ist Befehl.

Bo kultura niemiecka to mechaniczna bezmyślna rutyna i tak też kulturę rozumieją w Polsce ci, co od czasu rządów sanacyjnych nie zdążyli jeszcze otrząsnąć się z germanizatorskich wpływów. Publiczną bowiem tajemnicą jest, że Polska sprzed 1939 ulegała ideowo-kulturalnym wpływom swych zachodnich sąsiadów. Tu i tam zagęszczano atmosferę różnymi oparami „średniowiecza" jak rasizm, antyfeminizm („kobieta tylko przy ognisku domowym") itp. dziwadła. W ten sam też sposób przyjmowano tu i tam gotowy szablon towarzyskiej poprawności. Kto go łamie, ten jest „niekulturalny", „nietaktowny", ten razi i gorszy, ten jest jednym słowem „dziczą".

Ciasno naprawdę w tym gorsecie, co nie pozwala na rozwój ludzkiej żywotności. Na szczęście koncepcja ta nie jest jedynym poglądem na daną sprawę, istnieją bowiem dwa pojęcia o kulturze. Podług jednego „człowiekiem kulturalnym" jest taki, który w spadku ma pewne przyzwyczajenia nigdy nie kontrolowane, tak że stały się nieuświadomionym odruchem, „drugą naturą" jakoby. Osobnik ten umie zachowywać się w życiu towarzyskim, jeść, mówić, chodzić, kłaniać się bez zarzutu a jego myślenie i system wartości wydają mu się czymś przedwiecznym i niezmiennym. Jest to wielkokapitalistyczny typ człowieka kulturalnego — nazwijmy tę koncepcję nr 1, „kulturą statyczną".

Pokrewna koncepcja kultury, jej satelitowa niejako odmiana, realizowana będzie przez typ, który krzewi się szczególnie w środowiskach drobnomieszczańskich. Przyzwyczajenia kulturalne nie są tam wrodzone, nie stały się „drugą naturą". Są za to z trudem wymuszane w imię irracjonalnego zapatrzenia się w model, nazwany przez nas „kulturą statyczną". Przedstawiciele tej odmiany kultury nie są spadkobiercami szablonu kulturalnego, ale są jego naśladowczymi pachołkami, podwójnie nietwórczymi. Nazwijmy ich przedstawicielami „kultury statycznej" w odmianie satelitowej.

Biegunowo przeciwna jest inna, koncepcja kultury nr 2, którą nazwiemy „kulturą dynamiczną". Według niej człowiekiem kultury nie jest taki np., co przyzwyczaił się od dziecka glancować buty lub posługiwać się przy jedzeniu nożem i widelcem, lecz ten, który pastę do butów zarówno jak i nóż i widelec wymyślił dla swej wygody i który nadal i wciąż będzie starał się zmieniać i udoskonalać przedmioty codziennego użytku oraz formy ludzkiego współobcowania. „Kultura dynamiczna" realizowana jest według demokratycznej koncepcji; wynika z niej, że kultura nie jest gotowym odziedziczonym spadkiem wartości, lecz tworzeniem i zdolnością do tworzenia tych wartości, stosownie do wciąż narastających, zmiennych potrzeb życia. Koncepcja „kultury dynamicznej" zgodna jest z postępem i wzrostem życia i za nią właśnie my się opowiadamy, na niekorzyść „kultury statycznej" tak w jej odmianie zasadniczej jak i satelitowej.

Zdarzyć się może łączenie cech „kultury statycznej" (bierność przyzwyczajeń kulturalnych) z cechami „kultury dynamicznej" (aktywność kulturalna na odcinkach innych niż poprzednio wymienione, na odcinkach jeszcze nie opanowanych). Lecz nie zawsze są one w tym związku: człowiek wysoce kulturalny w znaczeniu „kultury dynamicznej" może być mało kulturalny, lub zupełnie niekulturalny w znaczeniu „kultury statycznej". Ale ponieważ „kultura dynamiczna" jest dla nas bez porównania cenniejsza niż „kultura statyczna" ponieważ ona i tylko ona jest prawdziwą kulturą, więc na to, co jest cenniejsze, należy też kłaść główny nacisk. U nas natomiast, szczególnie w pewnych środowiskach czyni się na odwrót i na tym też polega błąd. Trzeba też zauważyć w imię postępu, którego pojęcia staramy się przeforsować, że pewne cechy należy raczej usuwać; to mianowicie, co obyczajom nadaje niewygodny i wymuszony charakter sztuczności i nienaturalności, obcy demokratyczności, która dąży do ustanowienia prostych, ufnych i przyjacielskich stosunków między ludźmi.

Z naszych więc uwag wynika, że ci, co nazywają Niemców „kulturalnymi", trzymają się pojęcia „kultury statycznej". Według nas jednak nie oni są reprezentantami prawdziwej kultury.

Gdzie jest jednak ów prawdziwy człowiek kultury? — zapytają nas.

Jest on wszędzie — odpowiadamy: w dotychczasowych górach społecznych jak i w jego dołach, zrównani oto wstają chłop, robotnik i inteligent. Tam wszędzie, gdzie rusza się, cierpi i raduje człowiek poszukujący gorączkowo na swym życiowym szlaku coraz to sprzeczniejszych maszyn, coraz to wnikliwszych myśli, coraz to piękniejszych kształtów, coraz to lepszych form współobcowania — tam wszędzie lęgnie się i rośnie kultura.

Na tym stojąc stanowisku nie zdziwi nas pewien człowiek, dziś już nieżyjący, który tylko na fotografii może być oglądany. Człowiekiem tym jest Maksym Gorki. W żaden sposób nie da się on zamknąć w ramach tego szablonu, który niewłaściwie przyjęto nazywać „kulturą".

Oto pozycja, w której utrwaliła go fotografia: rozłożył się w poprzek stołu, szeroko obejmując go łokciami, na zaciśniętej pięści, podtrzymującej podbródek, oparł głowę, w której tyle zatliło się myśli, gęsta czupryna niedbale opada mu na czoło.

„Co za dzikus"! — powiedziałby przedstawiciel „kultury staty znej" (w odmianie zasadniczej i satelitowej).

A teraz podsuwamy pod oczy fotografię inną, wyjętą z gazet 1946 r.: Greiser przed sądem polskim w Poznaniu. Jest bez zarzutu „kulturalny", jego zachowanie wykazało świetne obycie światowo-towarzyskie a stosowana przez niego metoda obrony beznadziejnej swej sprawy była dowodem logicznych zdolności jego rozumu. Co do pierwszej z wymienionych cech Greisera pozostał on bezkonkurencyjny, jeśli zaś chodzi o cechę drugą, o sprawność rozumu, to nie ustąpiłby Greiserowi „dzikus" z pierwszej fotografii, znakomity autor i myśliciel, człowiek wszechstronnej wiedzy, przerastający

(Dokończenie na str. 4)



Pieśń robotników

Swiat nową treścią wciąż ożywa,
gdy my idziemy go zdobywać,
gdy kierujemy żwawy chód
do biur, do fabryk i do hut —
ochoczy robotniczy lud.

Czy zły, czy dobry czas nad światem,
czy to jesienią, czy to latem,
o każdej porze, w żar i chłód
podnosim co dzień twórczy trud,
bo najpiękniejszy pracy cud!

Czas dla nas drogim jest pieniądzem,
więc go nie tracim nierozsądnie.
Piękna szukamy nie we snach,
lecz w pracowitych, szarych dniach,
z nich budujemy jutra gmach.

Bo jak powstają z cegieł miasta,
tak z godzin pracy nam urasta
dobro, co wszystkim wspólne jest,
dobro, co wszystkim wspólne jest,
dobro, co wszystkim wspólne jest.

(1938) ALEKSANDER WIDERA.

KS. HENRYK WERYŃSKI

Ku nowym formom

Redakcja „Odry" zapowiedziała dyskusję — w związku z artykułami swej paryskiej korespondentki Krystyny Wryczan, poświęconymi spostrzeżeniom na temat nowych prądów we francuskich kołach katolickich.

Przyznam się szczerze, że przyjąłem z radością wspomnianą zapowiedź.

Prądy nurtujące wśród współczesnych katolików francuskich są zjawiskiem bardzo znamiennym i powinny znaleźć więcej zrozumienia wśród katolików polskich, trzymających się — na ogół z daleka i z rezerwą wobec wszystkiego, co nowe i co... inne. Jeśli twierdzę, że katolicy polscy powinni okazać więcej zainteresowania dla tego wszystkiego, co zaistniało ostatnio we Francji wśród katolików, to mam na myśli podwójny cel tego zainteresowania.

Po pierwsze: powinniśmy, my — katolicy polscy, poznać genezę historyczną i formy rozwojowe nowszej myśli katolickiej we Francji — celem obiektywnej oceny pewnej metamorfozy taktyki i nastawienia sporego odłamu katolików francuskich.[1] Powinniśmy zanalizować wyniki już osiągnięte przez tzw. postępowych katolików francuskich i przyjrzeć się bliżej, ku czemu zmierzają te koła katolickie francuskie, które przyzwyczailiśmy się nazywać postępowymi.

Musimy stwierdzić, że to, co tu i owdzie pisze się u nas o tym zagadnieniu, wygląda dosyć blado.

Następnie: obserwujemy pewną tendencję (u nas), zmierzającą do przedstawienia, jakoby obóz katolików postępowych we Francji był jednolity. Tymczasem — coraz więcej symptomów wskazuje na to, że są (i to poważniejszej natury) rozbieżności pomiędzy poszczególnymi grupami, które noszą denominację postępowych.

Wielką usługę katolickiej opinii w Polsce oddaliby ci, którzy albo niedawno powrócili z Francji, albo tam przebywają, gdyby zechcieli podać nam więcej szczegółów, dotyczących fizjognomii całego ruchu tzw. postępowego wśród katolików francuskich.

Musimy postarać się o naprawdę rzetelne oświetlenie wszystkiego, co się dzieje — tam, by móc rozważyć, co by można w tej dziedzinie począć tu, u nas, w kraju, który nie może być obojętny na nowe formy odwiecznej treści.

I to jest drugi cel, który powinien przyświecać zapowiedzianej przez Redakcję „Odry" dyskusji.

Jak dotąd zainteresowanie możliwościami na tym odcinku jest u nas więcej niż nikłe.

Zastanawiam się nieraz: skąd płynie ten brak zainteresowania nowymi formami. Ośmielam się przypuszczać, że głównym powodem jest anemia polskiego katolicyzmu, datująca się nie od wczoraj. Brak żywotnej prężności. Brak dynamiki. Brak żywego powiązania z potężnym nurtem przemian społecznych i politycznych. Tkwienie w tradycji, często bardzo cenionej, ale nie wystarczającej — bez reszty — do sprostania wielkim i nowym zadaniom chwili.

To nastawienie szczerych katolików polskich nie wiele różni się od tego, jakie było za czasów Adama Mickiewicza.

Ks. Arcybiskup Feliński zachował nam w swych pamiętnikach bardzo ciekawe słowa Mickiewicza, które warto tu zacytować, gdy dyskutujemy nad możliwością i realizacją nowych form w polskim ruchu katolickim. Słowa, które padły z ust Mickiewicza w Paryżu pod adresem rodaków, brzmią j. n.:

„wiele — w naszym przekonaniu uczęszczać w niedzielę do kościoła, spowiadać się na Wielkanoc i kupić dyspenzę od postu, — to być przejętym ową wszechwładną ideą, co świat pogański bez oręża obalił potrafiła, uznosząc na jego zgliszczach świat chrześcijański...

I czyż nie rozumiecie, że tak praktykowany przez was chrystianizm jest bezdusznym zaledwie widmem pierwiastkowego Kościoła?..."

Widmo — to zaprzeczenie życia, krwi pulsującej.

Bardzo to znamienne i bardzo trafne określenie. Musi się je brać w rachubę, ile razy dyskutujemy na temat nowych form i nowych metod w pracy polskich katolików.

I w tej dyskusji też.

Należy się szczera wdzięczność Redakcji „Odry" za wszczęcie takiej właśnie dyskusji.

Do słów wdzięczności należy dołączyć życzenia, aby rozpoczęta dyskusja przyniosła jak najbardziej pozytywne rezultaty. Dawno już taka dyskusja była potrzebna. Lepiej później — niż nigdy...

Ks. Henryk Weryński.

[1] **Uwaga Redakcji!** Autor poruszył to zagadnienie już w r. 1946 w rozdziale p. t. „Lekcja francuska" w swej broszurze „Katolicy radykalni", wydanej przez Państwowy Instytut Wydawniczy.

ARNOLD MOSTOWICZ

Atak

(Artykuł dyskusyjny)

W turalnej" ukazało się spra- numerze 10 „Twórczości" w ramach „geografii kul- wozdanie, czy też list z Dolnego Śląska, pióra Edwarda Kozikowskiego. Nad sprawozdaniem tym nie wolno przejść do porządku dziennego:

Bije bowiem z niego jakiś uderzający pesymizm, bije niewiara we własne siły, brak odwagi — a więc uczucia zupełnie obce atmosferze nadziei, entuzjazmu i radości, będącej przecież zrozumiałym rezultatem przemian społecznych. Bije jakaś gorycz doznanych krzywd, wreszcie zwraca uwagę kompletny mętlik, całkowite pomieszanie pojęć, jeśli idzie o zadania pisarzy w ogóle, a na Ziemiach Odzyskanych w szczególności.

Oddajemy najpierw głos Kozikowskiemu.

Po stwierdzeniu, zresztą słusznym, że tradycje kulturalne Dolnego Śląska są raczej nikłe i nawiązywać do nich w naszej pracy kulturalnej nie możemy, autor pisze:

„Z drugiej strony trzeba stwierdzić, że znaczna większość Polaków tu przesiedlonych nie zdaje sobie nawet sprawy ze znaczenia tego epokowego wydarzenia, jakim jest włączenie Ziem Odzyskanych do organizmu polskiego i jaką rolę mogą odegrać te ziemie **w razie wprowadzenia w czyn idei o odwecie germańskim** (podkreślenie moje A. M.) i znów należy spojrzeć prawdzie w oczy, aby obraz, który chcemy sobie przedstawić, stał się dla nas wyrazisty i jasny i aby nie było żadnych wątpliwości, że wyobraźnia nasza opierała się na rzeczywistości. Otóż ludność tutejsza składa się w znacznej mierze z elementu mało uświadomionego o zastraszającym odsetku analfabetów, słabo wyrobionego pod względem patriotycznym, zobojętniałego na wszystko pod względem przeżyć wojennych i mało ceniącego sobie nawet sprawy materialne. Element to trudny i niewdzięczny do oświecenia i wychowania, a już zupełnie nie nadający się w tej chwili jako obiekt do poważniejszej pracy kulturalnej. Trzeba niemało wysiłku, aby wskrzeszać w tutejszych ludziach jakąś iskrę zainteresowania; jakąś reakcję wewnętrzną: jest to typowa orka na ugorze, **bez cienia nadziei na jakiekolwiek plony** (podkreślenie moje A. M.) Można liczyć jedynie na młodsze pokolenie, o ile, rzecz prosta, wychowanie pójdzie w odpowiednim kierunku".

Oto opinia pisarza o ludności Dolnego Śląska. Na jakiej podstawie wyrobił sobie Kozikowski podobny sąd? Na to pytanie znajdziemy odpowiedź: na podstawie kontaktu osobistego z tą ludnością:

„Poza górnikami nawiązano kontakty z młodzieżą gimnazjalną i licealną, z inwalidami wojennymi, z wczasowiczami zajeżdżającymi tu na wypoczynek, w ogóle z najszerszymi masami ludności zarówno przyjezdnej, jak i stale tu zamieszkałej. Należy podkreślić, że w ciągu półrocza 1948 r. zorganizowano 58 prelekcji i wieczorów autorskich, na terenie Cieplic-Zdroju, Jeleniej Góry, Przesieki, Sobieszowa, Solic, Szczawienka, Szklarskiej Poręby i Wałbrzycha z udziałem 9 pisarzy, a mianowicie: Teofila Kowalczyka, Edwarda Kozikowskiego, Jana Napomucena Millera, Stanisławy Miłkowskiej-Iwańskiej, Wacława Mrozowskiego, Marii Orzechowskiej, Marii Plaskoty, Niny Rydzewskiej i Czesława Schabowskiego".

Nie będzie przesady, jeśli uwagi powyższe o ludności dolnośląskiej oceni się jako zwykły paszkwil, który w dużej mierze wypływa z mętniactwa ideowego wspomnia- pisarzy. nej przez Kozikowskiego grupy

Jak już powiedziałem pomieszanie pojęć jest w tych wypadkach zatrważające. Niewątpliwie analfabetyzm sprzyja brakowi uświadomienia i patriotyzmu, ale gdzież to napisane, że musi iść z nim w parze? Nie naliczyłby Kozikowski analfabetów wśród robotników, czy marynarzy, którzy w listopadzie 1917 r. zdobywali Pałac Zimowy, którzy później bronili swej ojczyzny przed interwencją imperialistyczną — którzy, jednym słowem, robili po prostu rewolucję.

Czy to wśród górników wałbrzyskich spotkał się Kozikowski z takim zastraszającym brakiem uświadomienia i patriotyzmu? Z pewnością nie Kozikowski będzie ich uczył miłości do Ojczyzny — ich, którzy swoją wolą budowania socjalistycznej Polski wypisują zygzakami podziemnych chodników, wspaniałymi cyframi wydobycia węgla, nazwiskami swoich przodowników pracy jak Sierny, Żaczek, Arendarski, Rozwał, czy setki i tysiące innych. Gdyby zechciał się naprawdę Kozikowski zainteresować uświadomieniem górników wałbrzyskich czy Nowej Rudy, zebrałby materiał, który by mu wystarczył na napisanie niejednej książki, a w każdym razie wstrzymałby go od napisania takiej ilości głupstw, jak w omawianym artykule.

A może to chłopów dolnośląskich ma na myśli Kozikowski, kiedy tak niepochlebny, o ludności tutejszej, wydaje sąd?

Niewątpliwie chłopi dolnośląscy, przybyli tutaj zza Buga, są mało uświadomieni, mało kulturalni, być może nawet i mało patriotyczni. Niewątpliwie wiele wody upłynie, zanim Mickiewicz czy Żeromski zawitają tutaj pod strzechy. To wszystko prawda, ale...

...ale nie widzieć tych zmian, które zaszły wśród ludności wiejskiej Dolnego Śląska, nie widzieć tego wzrostu aktywności chłopstwa, szczególnie mało i średniorolnego, nie widzieć pięknych przejawów uświadomienia wśród robotników rolnych — to być po prostu ślepym. Tutaj w każdej chacie, w każdej gromadzie wartka rzeczywistość rozbija stare nawyki; wraz z turkotem maszyny elektrycznej, żarówką, broszurą i słowem płynącym z głośnika wtargnął świat nowy, który powoduje, że chłop zza Buga przeskoczył w ciągu miesięcy wieki zacofania i być może czytać jeszcze nie umie, ale wie już, co to jest PPR, wie co to jest Samopomoc Chłopska, i wie kto to jest kapitalista wiejski, wie co to jest wyzysk. Ciekawe, czy o braku patriotyzmu i uświadomienia posądzi pan Kozikowski ową wieś Gocziałkowice pod Świdnicą, która na odbudowę Warszawy obsadziła 20 ha ugorów burakami cukrowymi?!

Kozikowski zaś jęczy, Kozikowski załamuje ręce.

„Praca rozwija się planowo i daje świadectwo żywotności tutejszego oddziału Związku Zawodowego Literatów Polskich, który znalazł wspólny język ze światem pracy fizycznej"...

Puste frazesy!

Na podstawie artykułu Kozikowskiego nie trudno się domyśleć, że te kontakty, ten wspólny język pisarze jeleniogórscy odnaleźli z kołtuństwem, którego tu nie brak, z lumpen-burżuazją, która w tutejszych okolicznościach obficie obrodziła.

Nie trudno się także domyślić, czytając artykuł Kozikowskiego, że przyczyn jego pesymistycznych wynurzeń szukać należy nie tylko w mętniactwie ideologicznym.

„Nie będzie przesadą, jeśli powiem, że pisarze, którzy tu tkwią od blisko trzech lat, męczą się nie mogąc związać tradycyjnego końca z końcem i chwytają się różnych zajęć, byle by utrzymać się na powierzchni. A jeżeli nawet wyłania się jakieś stanowisko związane z ich zawodem, jak np. kierownictwo literackie teatru we Wrocławiu, czy w Jeleniej Górze to oddaje się je profesorowi uniwersytetu (i to nie specjaliście od literatury) lub aktorce. Coś tu nie jest w porządku!"

Z pewnością coś nie jest w porządku. Z pewnością popełniano błędy i to poważne. Powiem więcej: z pewnością nie zawsze sprawiedliwie doceniano pracę literatów, ale przecież przez pryzmat tych niesprawiedliwości nie wolno patrzeć na całokształt życia kulturalnego Dolnego Śląska. To naprawdę nie uchodzi. A już naprawdę nie należy pisać sprawozdań, mających przecież, jakby nie było, poważne ambicje i poważny rozgłos — w jakimś widzie goryczy osobistej.

Uwagi te, to raczej jedna strona zagadnienia. I to też niezupełnie wyjaśniona. Zbyt wiele jednak miejsca zabrałoby nam udowadnianie Kozikowskiemu, jak fałszywa jest jego ocena, jak krótkowzroczny jego pogląd. Pozostaje jednak druga strona, poważniejsza i istotniejsza.

Wspomniałem już na początku, że uderza w artykule Kozikowskiego pomieszanie pojęć, jeśli idzie o rolę pisarza, o jego zadania.

Zacytujemy znowu Kozikowskiego:

„Większość pisarzy zamieszkała tu na południowo-zachodnim odcinku Dolnego Śląska uświadomiła sobie odrazu natychmiast po przybyciu na te ziemie, jakie są jej obowiązki i zadania. Zamiast zamykać się w wieży z kości słoniowej i tworzyć literaturę na eksport (? A. M.) pisarze rozpoczęli pracę od podstaw stając w jednym szeregu z nauczycielem i dzieląc razem z nim trudy związane z oświeceniem mas".

I dalej:

Jak już zaznaczyłem wobec słabej chłonności kulturalnej elementu tu napływającego, praca od samego początku była wyjątkowo ciężka, bo trzeba było z elementarzem w ręku iść w masy i uczyć jej przede wszystkim poznawania liter. Pisarz nieraz stawał się nauczycielem ze szkoły powszechnej, co może odbiegało od jego upodobań i zainteresowań, ale inaczej nie można było rozplanować tej obliczonej na dłuższą metę roboty, którą trzeba było wykonać we własnym zakresie, własnymi siłami i w tym celu, aby wychować sobie na przyszłość odbiorców".

Autor pisze wreszcie, że:

„Trzeba było opracować tematy przystępne i bliskie psychice górnika i to w formie łatwo przyswajalnej a więc mówiono o sztuce i stosunku jej do życia, o powstaniu powieści i tworzeniu wiersza. Omawiano twórczość Mickiewicza, Prusa, Orzeszkowej, Sienkiewicza, Konopnickiej, Żeromskiego, Reymonta."

A więc jednym słowem literaci jeleniogórscy przekształcili się po prostu w nauczycieli. Uczyli alfabetu.

Proste pytanie: czy taka powinna być działalność pisarza w Polsce anno domini 1945/48? Czy cała jego praca ma polegać na przygotowywaniu sobie przyszłych czytelników:

Odpowiedź Kozikowskiego na to pytanie byłaby bardzo zabawna, gdyby jednocześnie nie była także bardzo smutna. Trudno zrozumieć, dlaczego na Dolnym Śląsku pisarz miałby się zachować inaczej niż w innych częściach naszego kraju i na odwrót. Już widzę Andrzejewskiego i Gałczyńskiego idących „w lud" na ziemię mazurską, Ważyka, Brandysa i Hertza jadących na Suwalszczyznę aby tam nauczać, a Dygata z Brezą wykładających chłopom z Rzeszowskiego zasady sonetu mickiewiczowskiego.

Dość żartów. Nie tędy droga prowadzi.

Niepotrzebnie przekształcili się jeleniogórscy pisarze w nauczycieli, czy pracowników kulturalno-oświatowych. Zresztą mam poważne wątpliwości, czy posiadają do tego odpowiednie kwalifikacje.

Należało iść do górników, fabryk, do chłopów, na majątki państwowe, lub spółdzielnie parcelacyjno-osadnicze, należało iść jednym słowem tam, gdzie masy pracujące, krusząc stare formy, tworzą nowe życie, nowe formy życia gospodarczego i społecznego. Należało tam iść, ale po co? aby z tych bezcennych źródeł czerpać bogaty materiał dla tworzywa literackiego. Należało iść do robotników i uczyć się od nich optymizmu, skoro się go nie ma, zarazić się optymizmem i uczyć się walki, chłonąć ów ogrący żar, który wskrzeszała i wskrzesza walka o polskość tych ziem, walka o socjalizm. Należało iść tam dla samokontroli, dla skonfrontowania swojej twórczości z dynamiką rewolucyjną mas ludowych, dla sprawdzenia, nareszcie, jak twórczość tę przyjmuje konsument, co o niej sądzi, jak ją rozumie. Tam może pisarz mógłby nastroić swoją twórczość do tęsknot i pragnień tych mas, które wreszcie po raz pierwszy w historii są demiurgami własnego losu.

Po latach wprowadzenia mas czytelniczych w tajniki sztuki, Kozikowski wyobraża sobie przyszłość idylicznie:

Należy pamiętać, że za czasów niemieckich tutaj ogniskowała swą działalność literatura. Wrocław był wprawdzie centrum uniwersytecko-naukowym, ale literatura piękna rozwijała się i kwitła na terenie powiatu jeleniogórskiego właśnie w Agnieszkowie, w Chojnastach, w Przysiece, w Szklarskiej Porębie, gdzie mieszkała stale liczna rzesza wybitnych pisarzy niemieckich z Gerhardem Hauptmanem na czele. Tutaj w idealnych warunkach terenowych, w bezpośrednim kontakcie z przyrodą podgórską, w spokoju i ciszy można oddawać się pracy pisarskiej".

Niewątpliwie piękna jest podgórska przyroda Karkonoszy, tereny jeleniogórskiego powiatu nadają się idealnie na wypoczynek, wczasy, czy wycieczki. Ale przecież mylnym i zgoła szkodliwym jest przypuszczenie, że można, zamknąwszy się w tym skąd inąd pięknym świecie, widzieć jednocześnie i odczuwać mieniący się wszystkimi barwami dzień dzisiejszy i słyszeć grającą surmami walkę nowej rzeczywistości.

Nie tylko w cyfrach wydobycia tkwi wielkość Siernych i Żaczków, ale przede wszystkim w tym fakcie, że są oni entuzjastami i heroldami zmiany stosunku człowieka do pracy, są heroldami pracy socjalistycznej. Czy to mało? Kozikowski pisze, że nie można pisarzowi stawiać wymagań odnośnie pracy twórczej — bowiem nie ma dla kogo pisać!

Niesłychane! Kozikowski tworzy z Dolnego Śląska jakąś białą plamę, jak gdyby różnice między Ziemiami Odzyskanymi a resztą Polski były tak zasadnicze, że pozwalają pisarzom z innych części kraju pisać i dużo pisać, a Kozikowskim nie! Na Dolnym Śląsku rozchodzi się ćwierć miliona prasy codziennej. Kto to czyta?!

Wygląda raczej na to, że jeśli pisarze jeleniogórscy nic nie napisali, nic nie tworzyli, to po prostu dlatego, że nie mieli nic do powiedzenia.

Powiedzmy jednak, że to „wyjście na rynek" i kontakt z tą wieloraką rzeczywistością nasyciłby pisarzy jeleniogórskich (może innych, a może innych) takim ładunkiem orzeźwić, tak głęboko by się przełamały w ich świadomości, aby wzbudzić poczucie piękna w tych, o których z taką beznadziejnością pisze Kozikowski? Taka literatura będąca odbiciem przemian zaszłych w naszym kraju to nie tylko pomost między pisarzem a klasą robotniczą, ale także pomost między klasą robotniczą a literaturą czy kulturą w ogóle. Poprzez siebie i swoją walkę przedstawioną w dziele literackim, dojdzie górnik z Wałbrzycha, tkacz z Dzierżoniowa, czy robotnik rolny ze Strzelina do zrozumienia i Prusa i Żeromskiego i Reymonta.

Robotnik w Związku Radzieckim najpierw słuchał wierszy i opowieści o swojej rewolucji, o swojej walce z imperialistami i białogwardzistami, a potem nauczył się czytać i czytał Puszkina, Lermontowa, Tołstoja.

Bo ta jest droga najkrótsza, która wymaga od pisarzy polskich przede wszystkim uwspółcześnienia, upolitycznienia ich twórczości; więcej nawet, upartyjnienia jej,

— na zebraniach kół PPR, gdzie czyści się szeregi partyjne, widać jak pod szkłem powiększającym tworzenie się moralności nowego człowieka —

— ta droga wymaga aktywnego udziału w walce klasowej, która się toczy, w walce z pozostałościami starego świata, w walce o zwycięstwo socjalizmu.

* * *

Pesymizm, brak wiary, obcość dla wielkich spraw, które są chlebem codziennym tej ludności, o której tak źle sądzą Kozikowscy, nie sprzyjają tworzeniu literatury wielkiej — literatury mobilizującej.

Wystawa Ziem Odzyskanych to dzieło nie tylko setek artystów i plastyków, ale i pięciomilionowej masy Polaków zamieszkujących te ziemie, a w tej liczbie i owej ludności Dolnego Śląska, o której pisze Kozikowski, że nie zdaje sobie sprawy z roli tych ziem w razie wprowadzenia w czyn idei o odwecie germańskim.

Arnold Mostowicz.

Życiorysy miast

Dzida Mongoła i zbóż śpiewność dojrzała

Legnica albo Lignica (bo doprawdy nie bardzo wiem, jak właściwie mówi się prawidłowo) dla większości z nas kojarzy się ze szkolnym podręcznikiem historii polskiej. Młodzieńcza wyobraźnia wywoływała w tych latach obraz, który przetrwał w naszej pamięci do dzisiejszego dnia. Były to szerokie i płaskie pola, zbita masa rycerzy polskich błyskająca blachami zbroic, najeżona ostrzami włóczni, owiana kolorowym furkotaniem proporców. Była oprócz tego „szara, tatarska ćma", jakby wyraził się Henryk Sienkiewicz. „Szara ćma" cwałująca na „drobnych ale mocnych konikach", ogarniająca sierpem horyzont od krańca do krańca. Ostatnim koszmarnym wspomnieniem była blada i okrwawiona głowa dobrego księcia Henryka, zatknięta na lancy Mongoła.

Dzisiaj na podlegnickich polach, które skrwawiła bitwa roku 1241, szeleszczą dojrzewające zboża. Szosę, którą mknie nasz samochód, obramowała po brzegach plątanina kwitnących ziół. W ziołach brzęczą połyskliwe owady. Później zaczynają napływać szarozielone ogrody, pełne warzyw i kwiatów. Warzywnictwo legnickie, świetnie rozwinięte przed wojną, zaczyna powracać do swoich praw. Legnica w zmienionych warunkach wraca do swojej roli. Roli jednego z najważniejszych ośrodków przemysłu jarzynowo-konserwowego. Ziemia podlegnicka, bogata, czarnoziemno-lessowa nadaje się znakomicie pod uprawę wszelakich warzyw. Tradycje warzywnicze i sadownicze Legnicy sięgają XVII stulecia.

Legnica jest miastem rozległym, o bogatej historycznej tradycji, nie wielkim procencie zniszczeń, dobrze zorganizowanym handlu i nieźle prosperującym przemyśle. Należy też niewątpliwie do miast, w których rytm nowych czasów zagłuszył dosyć skutecznie historyczność, dawność, zamierzchłość. W tym mieście, gdzie czynne są dziś: fabryka płyt izolacyjnych, wytwórnia środków farmaceutycznych, trzy zakłady pończoszniczo-dziewiarskie, gdzie ulicami rojnymi przetaczają się samochody, napróżno by chcieć odnaleźć atmosferę tych dawnych lat, które pochłonęła historia. Jest to dość dziwne zjawisko. Na mapie Europy figurują wszak miasta, które do dnia dzisiejszego zachowały niestarte piętno swego średniowiecznego czasu. Miasta, których same imiona wywołują wyobrażenia i wizje. Weźmy takie na przykład Brugges, takie Reims, taki Assyż lub choćby i nasz Kazimierz. Istnieją znów całkiem inne, gdzie na marginesie życia nowoczesnego, ruchliwego, przesyconego wonią mieszanki samochodowej, krzyczącego głosami klaksonów, przycupnęła jednak historia. Weźmy nasz przedwojenny rynek Starej Warszawy i te wszystkie przyległe do rynku tego Kanonie, Dziekanie, Świętojańskie i Piwne. Przypomnijmy sobie chociażby paryskie okolice Notre Dame, lub Ostrów Tumski Wrocławia.

Otóż rzecz bardzo dziwna — w Legnicy nie odnalazłem przeszłości. Tak samo jak jej nie znalazłem w Wałbrzychu. Ale Wałbrzych jest przecież miastem, którego cały ciężar rozwoju przeniósł się na wiek XIX, podczas kiedy Legnica swoje najbardziej emocjonalne lata przeżyła gdzieś w czasach św. Dominika i św. Franciszka z Assyżu, Tomasza z Akwinu i Abelarda, Dantego i Wolframa von Eschenbach. W czasach rozkwitu mieszczaństwa i początku kolonizacji niemieckiej.

Można iść i oglądać piastowski zamek renesansowy, zbudowany z piaskowcowego ciosu dolnośląskiego, podobnie jak zamek w Brzegu. Można sobie również przypomnieć, dlaczego pomimo swego militarnego sukcesu w roku 1241, stąd właśnie, spod Legnicy cofnęła się fala Mongołów. Historyk wyjaśni wówczas, że miasto to położone w widłach Kaczawy i Czarnej Wody, na terenie podmokłych rozlewisk, stało się główną strażnicą obronną Ślęzan. Na tym właśnie przykładzie widzimy jak niesłychanie w gruncie rzeczy jest konsekwentna historia.

I jeszcze jedna rzecz ważna. Szczęśliwe życie Legnicy związane jest z tradycjami polskimi. Nie jest to propaganda ani frazeologia. Upadek Legnicy rozpoczął się równocześnie z datą śmierci ostatniego potomka legnickiej linii piastowskiej, co stało się na przełomie trzeciej i czwartej ćwierci XVII stulecia. To, że w 200 lat później znów zaczęła rozkwitać, wiąże się z ówczesnym nagłym oraz gwałtownym rozwojem kapitalizmu przemysłowego. Działo się tak w całym świecie, działo się i w Legnicy. Lecz fakty te nigdy nie zwiastowały pomyślnego rozwoju ludzkości. I to było najboleśniejszym i niewątpliwym fatalizmem owej epoki „prosperity". I to miało w przyszłości pogłębić tragedie zwyczajnego człowieka.

Przyglądając się tryskającym pod niebo po gotycku pinaklom Panny Marii legnickiej, dumając o znikomości spraw ludzkich nad Mauzoleum Piastowskim, włócząc się po przestronnym rynku, z którego uleciał już dawno duch średniowiecznej epoki, przesuwając spojrzenie po heraldycznych znakach starych, gotycko-renesansowych herbów wmurowanych w ściany przedsionka spalonego podczas wojny muzeum, przypominam sobie jeszcze jeden fakt historyczny. Tu, niedaleko miasta, na podlegnickich polach rozstrzygnęła się w roku 1813 jedna z tych wiekopomnych bitew, które przypieczętowały losy Cesarza Francuzów.

W moim starym podręczniku historii nie było nic o klęsce Napoleona na rozlewiskach Koczawy. A jednak może ten fakt zadecydował o dalszej przyszłości miasta. Po tej bitwie odeszli z tych stron starzy grenadierzy gwardii napoleońskiej. Na ich miejsce przybyły pułki pruskich piechurów, kirasjerów brunświckich i saskich. Dziadów wczorajszych „Panzerjegrów" i „Flakkanonierów" von Brauchitscha i Keitla.

Podręczniki historii notują czasy minione. Nie przepowiadają przyszłości. Stary mój, sfatygowany podręcznik kupiony w antykwariacie warszawskim na Świętokrzyskiej, nie mógł opowiedzieć mi o tym, że prawnukowie duchowi poległego na polach legnickich, dobrego księcia Henryka, powrócą któregoś dnia w łopotaniu biało-czerwonych flag, do starej, polskiej Legnicy i rzucą siew polskich zbóż na podlegnickie pola, po których przesuwają się cienie dziejów Polskiego Śląska.

Tadeusz Zelenay.

JAN MUKARZOWSKY

Stan dzisiejszej kultury

Podobnie jak i w innych europejskich krajach, o stanie kultury w dzisiejszej Czechosłowacji mówić możemy tylko z tym zastrzeżeniem, że pod słowem „stan" rozumieć będziemy i przemiany. Całe bowiem czechosłowackie życie kulturalne znajduje się w płynnym nurcie, przygotowany jest do przyjęcia nowego sensu, chociaż kształty tych nowych przemian nie są jeszcze dotąd wyraźne. Jeżeli mimo to mamy podjąć próbę jego charakterystyki, musimy rozszerzyć pojęcie chwili obecnej i rozejrzeć się w szerszej przestrzeni czasu. Dopiero wówczas uda się nam podchwycić przynajmniej główne z najistotniejszych rysów kultury czechosłowackiej, dopiero wówczas będziemy mogli zorientować się w jej dzisiejszych dążeniach.

Pierwszym z tych znamion charakterystycznych jest **sytuacja kultury w przeszłości życia narodowego.** Większą część wieku XIX w Czechach, i aż do pierwszej wojny światowej na Słowacji, była kultura — reprezentowana przede wszystkim przez sztukę i wiedzę — głównym, a nawet jedynym propagatorem myśli narodowej, najbardziej zasadniczym środkiem obrony, dobrem — od którego zależna była egzystencja narodu. Więc też sztuka i wiedza przez długi okres czasu musiały wynagradzać braki na odcinkach innej twórczości narodowej. W latach pięćdziesiątych ubiegłego stulecia poeta Jan Neruda tak o tym pisał:

„Inne narody nie koncentrują swych pragnień i wysiłków w literaturze — myśl ich rozsnuwa sieci kolei żelaznych, po całej ziemi, łączy morza, przesyła rozkazy przez powietrze, a wszystko to jedynie w tym celu, by najdalsze nawet narody mogły się zbliżyć ku sobie, by każdy kontynent i każdy człowiek mógł złożyć swe dary całej ludzkości i podobne dary od wszystkich otrzymywać, by świat cały równomiernym krokiem i bez przeszkód z żadnej strony szedł drogą postępu. W tym wielkim zadaniu także i nasz naród bierze udział, ponieważ brać go musi; nie jesteśmy jednak tak mocni materialnie, aby ten nasz udział był bardzo wydatny i miał charakter ofensywy. Głównym naszym celem musi być dążenie do tego, abyśmy doprowadzili do powszechnego uświadomienia sobie tych naszych zadań. A do tego pomóc nam może tylko literatura; i chociaż inne narody mniej czy więcej ją zaniedbują, my na niej właśnie wciąż jeszcze musimy koncentrować cały swój wysiłek."

I tę pozycję naczelną — o której mówi Neruda — utrzymała nie tylko literatura czeska, ale i cała czeska kultura duchowa aż do lat osiemdziesiątych, kiedy to rozpoczął się szybki rozrost czeskiego przemysłu i handlu. Lecz nawet wówczas, gdy zainteresowaniem społeczeństwa musiała kultura dzielić się z handlem, przemysłem, techniką, a także z walkami politycznymi i społecznymi, nie przestała literatura być najistotniejszym jądrem życia narodowego — jak to zwłaszcza podczas obu wojen światowych wykazały fakty. Już podczas pierwszej wojny światowej występują otwarcie pierwsze przejawy oporu przeciw Austrii. Miały one ścisły kontakt z kulturą: literaci stali się wyrazicielami woli narodu — posiadania własnego, niepodległego państwa — w manifeście swym z dnia 30 maja 1917 r. literat Alojzy Jirasek, dnia 13 maja 1918 roku odczytał w Pradze, w Domu Miejskim, tekst przysięgi narodowej; podczas uroczystości ku czci pięćdziesięciolecia otwarcia Teatru Narodowego w maju tegoż samego roku przejawy powszechnego oporu doszły do szczytu. Także podczas drugiej wojny światowej i za okupacji, książka czeska i czeski teatr znowu stały się jedynym szańcem ruchu oporu: „Obrazy historii narodu czeskiego", Wanczury — powstałe w okresie Monachium, jako przejaw czeskiej zdecydowanej postawy i gotowości do obrony — wychodzą podczas okupacji, głosząc wobec nieprzyjaciela wielkość przeszłości Czech; równocześnie najlepsi lirycy pod okiem niemieckiej cenzury nawołują do nieustępliwości i pogardy dla nieprzyjaciela. Całe społeczeństwo kurczowo chwyciło się książek i teatru: nowo wydawane książki rozchwytywano w ciągu paru dni; nigdy w tramwajach praskich nie widywano tylu ludzi zagłębionych w czytaniu, jak właśnie w tych czasach. Teatry codziennie bywały przepełnione, nowe teatry powstawały masowo; w sztukach plastycznych cele zainteresowanie i zyskiwały publiczność, zwracały się ku tego rodzaju dziełom sztuki, które Niemcy określali jako bez wartości. Ze sztuką nie tylko w okresach niebezpieczeństwa, ale i w czasach spokoju i normalnego rozwoju łączy się sprawa narodowa. Ta wspólnota interesów kultury i narodu, za przykładem innych narodów, ...

N[illegible] ale [illegible] nie [illegible]

D[illegible]

[illegible]

W[illegible]

[illegible]

ADAM POHL

Warsztat i dusza pewnej monografii

„Monografia już na maszynach. Cztery arkusze leżą już gotowe, odbite w potrzebnej ilości egzemplarzy (10.000). Całość ma prawie 35 arkuszy! O różnych porach dnia, do późnego wieczora, samochód połowi mnie do drukarni i daję swoje „błogosławieństwo" na każdą stronę każdego arkusza".

Nie dziwnego, że otrzymawszy te słowa, których dnia znalazłem się w Poznaniu w małym mieszkaniu dra Deresiewicza, naczelnego redaktora „Monografii Pomorza Zachodniego". Chciałem dowiedzieć się bliższych szczegółów o tym pomnikowym dziele, mającym objąć wszystko, co wiemy o Pomorzu Zachodnim, i co o nim wiedzieć należy. Od dłuższego już czasu słyszałem o przygotowaniach do druku wielkiej pracy monograficznej o Pomorzu Zachodnim. Pisała o nich „Odra", pisały inne pisma — może nie tyle, ile należało. To właśnie skłoniło mnie do tych odwiedzin.

Jak zapowiadały słowa listu dra Deresiewicza zastaję przy pracy, przy montowaniu ostatnich stron. Na kratkowanej makiecie stronowej umieszcza właśnie zdjęcia.

— Czy nie uważa Pan, że dobre byłoby naszą rozmowę zacząć od genezy pracy nad Monografią? Kto pierwszy rzucił pomysł jej opracowania?

Projekt opracowania monografii Ziem Odzyskanych rzucił profesor Wojciechowski, dyrektor Instytutu Zachodniego. Jemu też plan zawdzięcza ramy organizacyjne. Jak Panu wiadomo, „Monografia Pomorza Zachodniego" jest częścią wielkiego cyklu „Ziem Staropolskich". Stanowić ona będzie serii tej tom II — pierwszym jest „Dolny Śląsk" — a składać się będzie z dwóch części, z których pierwszą, to pokaźny tom o 600 stronach druku i około 400 ilustracjach.

— Wspomniał Pan Doktor o cyklu „Ziemie Staropolskie". Może zechciałby pan szerzej scharakteryzować to wielkie zamierzenie wydawnicze?

Pierwszym tomem był „Dolny Śląsk". Materiały do tej monografii zebrał prof. Zdzisław Kaczmarczyk. Opracowali je następnie: Kiryk Sosnowski i Mieczysław Suchocki. Redakcję „Pomorza Zachodniego" powierzono mnie. W pierwszej fazie pracy komitet redakcyjny stanowili prof. Kiełczewska-Zaleska i prof. Karol Górski z Uniwersytetu Toruńskiego. Trzecim z kolei tomem będzie monografia Ziemi Lubuskiej — już prawie gotowa do druku — którą przygotowują mgr St. Zajchowska i doc. dr Michał Szczaniecki. Mówi się już w Instytucie i podejmuje wstępne prace do następnych tomów poświęconych Prusom i Wielkopolsce...

— Ależ to praca na lata! — rzucam.

Naturalnie. I, mimo energii prof. Wojciechowskiego, nie na siły jednego człowieka. Dlatego w pracach tych zastosowano metodę pracy zespołowej w całym tego słowa znaczeniu. Daje ona doskonałe wyniki.

— Pytam o współpracowników. Nazwiska niektórych znam. Wiem, że poszczególne rozdziały opracowywali prof. prof. Górski, Rudnicki, Zierhoffer, Kostrzewski. Dr Deresiewicz pomaga mej pamięci dorzucając nazwiska:

...dr. Czubiński, Urbański i śp. Wodziczko (przyroda), dr Mitkowski i Piwarski (historia), mgr Sobieszczański (działania wojenne w 1945 r.) dr Chmarzyński (historia sztuki), Stelmachowska (etnografia), dr Ślaski, mgr Świechowski, a reportaże literackie Walerian Lachnitt.

Jak pan widzi — dodaje dr Deresiewicz — teczka korespondencji z współpracownikami sama już stanowi tom równy prawie monografii. Współpracowników monografia ma około 30! Wielu z nich odbyło niejedną podróż po Pomorzu dla zebrania materiału i skonfrontowania z rzeczywistością poprzednich studiów naukowych. Pierwsza, główna wyprawa ruszyła w kwietniu 1947 r., przebyła 3.000 km i przywiozła nie tylko wszystkich uczestników cało i zdrowo — co zresztą jest wyłączną zasługą kierowcy, ob. Wozickiego — ale i obfity materiał informacyjny i ilustracyjny. Drugą wyprawę odbył prof. Chmarzyński, historyk sztuki. Przejechał on również Pomorze wzdłuż i wszerz i przywiózł przeszło 200 oryginalnych zdjęć, a co ciekawsze — natrafił na ślady ukrytych przez Niemców zabytków sztuki. Potem jeździła jeszcze etnografka, dr Bożena Stelmachowska, wreszcie ostatnio, w kwietniu br., geografka, mgr Kaczmarczykowa, a w parę miesięcy po niej objazdu terenu motocyklem dokonał raz jeszcze nasz fotoreporter red. Kitzman, przywożąc szereg zdjęć dokładnie ustalonych obiektów, przeważnie zabytków sztuki.

— Jak z tego widać, dzieło oparte jest nie tylko na fachowości współpracowników i szczegółowych studiach, że tak powiem, „warsztatowych", ale również na sumiennej i wszechstronnej penetracji terenu.

Oczywiście, inaczej niemożliwe byłoby sprostać postawionemu nam zadaniu. Przecież ma to być monografia, a zatem rzecz wyczerpująca zagadnienie bez reszty. Dlatego też wśród współpracowników znajdzie pan nazwiska specjalistów z różnych dziedzin i ośrodków naukowych. Chciałbym jeszcze powiedzieć kilka słów o szacie graficznej „Monografii". Prace w tej dziedzinie wykonali: Joanna Piekarska i Feliks Śmiełowski, mapki i rysunki — dr Wanda Boratyńska, wreszcie okładkę zaprojektował prof. Stanisław Szczepański.

Oglądam makiety okładki. Pod prostym, estetycznie literowo opracowanym tytułem umieszczono reprodukcję pastelowego obrazu prof. Szczepańskiego, przedstawiającą fragment wybrzeża Bałtyckiego. Część druga mieć będzie na okładce widok portu szczecińskiego.

— Monografia, jak widzę, będzie opracowana nieco inaczej niż „Dolny Śląsk", mniej, powiedziałbym, efektownie...

Czy „mniej efektownie" tego nie wiem, natomiast prawda, że inaczej. Nie stosujemy rotograwiury, lecz typografię, zrezygnowaliśmy z montaży i plansz. Podyktowane to zostało względami oszczędnościowymi i innymi założeniami redakcyjnymi. Zato książka będzie tańsza i dotrze do szerszych kręgów czytelniczych.

— Panie Doktorze, jeszcze parę słów o układzie monografii, jej zawartości treściowej — dobrze?

Monografia dzieli się na trzy części. Pierwsza — ogólna — obejmuje artykuły o geografii, przyrodzie, historii — od prehistorii do działań wojennych w ostatniej wojnie — historii sztuki, dalej sprawy językowe i etnografię. Część regionalna omawia te zagadnienia szczegółowiej w ramach poszczególnych regionów, których wyodrębniliśmy — łącznie ze Szczecinem i jego najbliższą okolicą — sześć. Część trzecia wreszcie — przygotowana już do druku — przynosi obraz osiągnięć we wszystkich dziedzinach życia od roku 1945. Wydaje mi się, że ta część właśnie będzie może najbardziej rewelacyjna, bo okazuje dowodnie, że nasz wkład w odbudowę Pomorza Zachodniego w tak krótkim czasie i przy znanych obiektywnych trudnościach — jest niemały. Bardzo chciałbym jeszcze umieścić jedną część — o perspektywach rozwojowych Pomorza w przyszłości. Cóż, kiedy wyłoniły się pewne kłopoty techniczne, utrudniające ten zamiar. Jeżeli jednak uda mi się zdobyć ten rozdział, będzie to zgrabna klamra zamykająca to wszystko, co wiemy o Pomorzu Zachodnim.

— Znaczenie społeczne, naukowe, a także i polityczne „Monografii Pomorza Zachodniego" będzie niemałe. Odegra ona wielką rolę mobilizującą siły do dalszej pracy na tamtym terenie...

Widzi pan, zamiast odpowiadać, opowiem panu pewien zabawny, może nawet znamienny fakt, poza którym może kryje się sens i potrzeba monografii. W jednym z reportaży literackich przepisująca go maszynistka utknęła na zdaniu, w którym jest mowa o fabryce sztucznego jedwabiu i prawdziwego entuzjazmu — mowa o Żydowcach, oczywiście. „Zakwestionowane" miejsce maszynistka zaopatrzyła dopiskiem: „...chyba takiej fabryki prawdziwego entuzjazmu nie ma na Pomorzu?!". Dopiero z pewnym wysiłkiem udało mi się usunąć niepewność sumiennej maszynistki i przekonać ją, że takie „fabryki prawdziwego entuzjazmu" istnieją...

— Rozumiem.

Dlatego może nie mówmy o politycznym, społecznym i naukowym znaczeniu monografii. To pachnie mi pytaniem egzaminacyjnym. Raczej wstrzymam się wobec tego od sformułowania już teraz odpowiedzi. Niech o tym mówią inni. Oddając wynik poważnej pracy zbiorowej do rąk czytelnika spodziewamy się, że wywoła ona szeroki oddźwięk i spotka się z należytym zainteresowaniem.

Adam Pohl

JAN PIERZCHAŁA

Rozmowa z synem

Tu. Uważaj.
Nie wrzeszcz bez końca.
Ojciec mówi. No nie wrzeszcz.
Słuchaj ojca.
Jest cała masa spraw i rzeczy;
słuchaj, żebyś wiedział, gdzie, jak i kiedy.

Co ci tam teraz. W jadło
i w pieluchy wierzysz.
Matkę ledwie poznajesz,
bo pierś ci pachnie, jak róża.
Co ci tam.
A ojciec głową kręci.
Siedzi, dycha ciężko,
żebyś miał koszulę, mleko,
portki, buty z juchtowej skóry;
musisz mieć chód ciężki,
musisz godnie nogami ruszać,
jak przystało na proletariusza.

Nie bój się nic. Ród masz zacny.
Nikt cię nie zgani.
Dziadek Pierzchała ma wąsy
aż na samą brodę i czterdzieści pięć lat
przerobił na kopalni.

Pamiętaj tylko czasu nie mitrężyć.
Najważniejsze robota ciągle.
Jak cię wysadzą z kolebki
zaraz do książek.
W książkach jest wszystko.
Otworzysz, zaraz widać,
co faszyzm a co co innego.
O sprawiedliwości na pamięć
wszystko trzeba znać.
Ale pamiętaj, bo po łapach.
Nie wolno targać.

Nie możesz dotrwać?
Brzydnie ci to moje gadanie, brzydnie?
Spisz? Zmożyło cię? A śpij.
Niech ci...
Ojciec posłucha, jak szybki
czas leci.

Wrocław 1948

Chorwacki przekład „Dziadów"

W serii „Teatr klasyczny" wydał niedawno Instytut Wydawniczy Chorwacji (Nakladni Zavod Hrvatske) „Dziady" Mickiewicza w przekładzie niezmordowanego prof. Beneszicia. 400-stronicowa ta książka o nakładzie 3000 egzemplarzy obejmuje wszystkie cztery części tego mickiewiczowskiego arcydzieła, a więc tak „Dziady Wileńskie" jak i „Dziady Drezdeńskie" — ze wszystkimi przypisami poety. Sam przekład poprzedził Beneszić 40-stronicowym wstępem, wprowadzającym czytelnika jugosłowiańskiego w życiorys i twórczość Mickiewicza, ze specjalnym uwzględnieniem samych „Dziadów". Oparł się tu na pracy prof. St. Kolbuszewskiego, „Twórczość Mickiewicza", wydanej w 1946 r. Prócz tego dodał tłumacz na końcu kilka stron objaśnień najważniejszych nazwisk przychodzących w tekście, tudzież bibliograficzne zestawienie w chronologicznym porządku przekładów dzieł Mickiewicza na język serbo-chorwacki, poczynając od 1835 r. Obejmuje on około 70 pozycji, a choć nie jest kompletny, co zaznaczono na wstępie, stanowi ważny przyczynek dla naszych mickiewiczologów.

Beneszić miał pod ręką przy tej pracy niepublikowany przekład dokonany przez Isa Welikanowicia, podobno poprawny, lecz mający tę wadę, że rymom gwoli dobiera słów wyszukanych i niezwykłych. Zamiast więc uzupełniać, czy poprawiać pracę Welikanowicia, wolał dać swój własny przekład, co mu przyszło o tyle łatwiej, że jeszcze w 1923 r. przełożył dla teatru zagrzebskiego adaptację Wyspiańskiego. Mimo to zadanie było oczywiście łatwe. Ale mistrz tego pokroju co Beneszić, utalentowany poeta i niezrównany tłumacz, a zarazem

Ja pjesnik!
Ja pjesnik prużam ruke!
Prużam ich swe do nebesa i polażem ruke
Na zwijezde ko na staklena harmonike zwona.
Czas naglim, czas sporim kretom,
duchom pokreciem zwjezdanim swijetom.
Milijon zwukowa struji; od zwukowa milijon
swaki sam izmamio, ja poznam swaki ton;
slażem ich, dijelim i steżem,
u dugu, akorde, u strofe ich weżem,
rasipam u zwuke i wrpce munja.

znakomity znawca języka polskiego i serbo-chorwackiego, wywiązał się z postawionego sobie zadania wprost genialnie.

Porównajcie np. z oryginałem te dwie pierwsze zwrotki znanej „Pieśni strzelca":

Po klancu i gori
i dolu i gaju,
uz trubu szto ori
i s psima szto laju;
na koniu szto lijecie,
sokolowe diwi,
i s puszkom szto mecie
ko grom da je żiwi...

Myśl i sens, rym i rytm świetnie oddają piękno oryginału, choć w dalszym ciągu obrazowość przekładu nieco zawodzi. Tak np. mickiewiczowskie

Kto kudły niedźwiedzie
podesłał pod nogi?

oddaje Beneszić słowami:

tko medwjedu bliże
stupit ima daha? —

co po polsku znaczy: „Komu tchu starczy podejść do niedźwiedzia bliżej?" A to już dużo mniej niż u Mickiewicza.

Podobnych słabszych miejsc można by się doszukać więcej w całej tej książce, co nikogo nie może dziwić. W każdym razie nie rzucają się w oczy i trzeba się ich dopiero doszukiwać, a nigdy nie schodzą poniżej dopuszczalnego poziomu. Stokrotnie zato wynagradzają je po mistrzowsku, wprost kongenialnie oddane długie partie, znacznie ważniejsze, a przede wszystkim taka czy nie brzmi to całkiem jak u Mickiewicza, bez mała jakby przez niego samego napisane? Nie znam przekładów „Dziadów" na inne języki. Śmiem jednak wątpić, czy który z nich jest tak bliskim oryginału, bo wydaje się to wręcz niemożliwe, zwłaszcza w językach niesłowiańskich. Trzeba przy tym podkreślić, że prócz paru mniejszych fragmentów Jugosłowianie nie mieli dotychczas przekładu „Dziadów"

Nie tutaj miejsce na dokładniejsze omówienie i analizę tego świetnego przekładu. Dokona tego zapewne ktoś bardziej ode mnie powołany na łamach któregoś z naszych czasopism naukowych. Moją rzeczą było tylko zwrócić uwagę na ten nowy wyczyn kunsztu przekładowego mistrza Beneszicia, który ostatnio wykończył tłumaczenie książki Andrzejewskiego „Popiół i diament" dla Macierzy Chorwackiej, a na rocznicę śmierci Słowackiego wyda w przyszłym roku „Anhellego" w nakładzie Instytutu Wydawniczego Chorwacji. W tym samym nakładzie zapowiada też nowele Sienkiewicza z lat 1882—83 i tom o Szopenie.

Wiktor Bazielich.

Sprawy teatru

Rzecz gustu i rzecz potrzeby

Teatr Polski w Bielsku i Cieszynie: „Niewidzialna" Noel Cowarda.
Teatr w Opolu: „Nawrócony" Bolesława Prusa i „Pan Drops i jego trupa" Jana Brzechwy.

Był czas, kiedy Wojewódzka Rada Kultury organizowała na premiery do Bielska specjalny autobus. Przyjeżdżali nim do tego pięknego miasta, w którym przed sympatycznym gmachem teatru biją w różnokolorowym oświetleniu wodotryski i które wieczorem dzięki ruchliwym i jasnym ulicom posiada specjalny urok — więc przyjeżdżali tym autobusem przedstawiciele t. zw. świata literacko-artystycznego i dziennikarskiego. Obecnie już autobus nie jeździ i wizyta w Bielsku staje się rzeczą nieco uciążliwą zwłaszcza jest przykry nocny powrót. Tym razem jednak po premierze „Niewidzialnej" Noel Covarda ponad dwugodzinna jazda do Katowic, z przesiadką w Pszczynie, przeszła prędko i ciekawie. Na dosyć zażartej dyskusji. Powiedziałem, że „Niewidzialna" jest psa warta i nie wiem co ta rzecz o duchach, mediach, o spirytyźmie angielskich paniuś z high life'u ma wspólnego z zabawą. Jan Brzoza i Aleksander Baumgardten twierdzili, że sztuka jest świetna jako satyra na spirytystów i wszelkiego rodzaju wywoływaczy duchów i że się można było setnie uśmiać. Więc dyskutowaliśmy. Już pod Katowicami gdzieś koło Ligoty uzyskałem tyle że obaj moi zacni dyskutanci przyznali, że sztuka ma pod względem konstrukcyjnym nieznośne dłużyzny i posiada pewne niejasności, przy czym Brzoza zgodził się nawet, że choć sam się dobrze na premierze bawił nie jest pewien czy równie dobrze będą się umieli bawić na „Niewidzialnej" ludzie, którzy tego świata latających talerzyków i pukających stoliczków nie znali i nie znają.

Z czego się tu śmiać? Chyba z tego, że ta „nieprawdopodobna farsa w 3 aktach (7 obrazach) w przekładzie Zofii Meissner i Ireny Babel" — wytrwale odbywa swój dziwny pochód po naszych scenach. Ta sztuka naprawdę straszy widzów polskich już drugi sezon. Wystawiały ją Łódź, Warszawa, Poznań, Wrocław, wystawiały w innym tłumaczeniu i pod innym tytułem („Seans"), aż wreszcie trafiła za przyczyną jakiegoś medium do Bielska. Z czego się tu śmiać? Raczej się dziwić wypada że rzecz stara, źle przetłumaczona o kilku bardzo nudnych, rozgadanych scenach wystawiono w Bielsku inteligentnie i pomysłowo choć nie wiadomo po co, bo w ogóle nie wiadomo o co w tym przedstawieniu autorowi chodzi. Pewien pan literat, posiadający willę, auto i żonę, już drugą z kolei, przy pomocy medium sprowadza na świat „zmaterializowanego ducha" swojej pierwszej żony, która zmarła przed siedmiu laty; duch pierwszej żony widzialny i słyszalny tylko dla pana literata doprowadza do licznych awantur z żyjącą drugą żoną. Duch pierwszej żony jest ładny, kuszący, mściwy, kłótliwy w miarę ordynarny. Literat chce się go pozbyć, lecz nie umie. Mściwy duch przez pomyłkę morduje drugą, żyjącą żonę literata i kręcą się teraz po scenie duchy dwu żon, których pan literat ma już serdecznie dosyć i wreszcie wysławszy znowu przy pomocy medium oba duchy na drugi świat oddycha z ulgą i żegna się ze swoją willą by wyjechać, pewnie w celu szukania nowych żon a raczej kochanek; momentowi wyjazdu towarzyszą same się ruszające obrazy, spadające z sufitu lampy i bombardujące głowę bohatera poduszki.

Autor pomieszał rzeczywistość z bzdurą spirytystyczną i rzeczy nie sprowadza na końcu sztuki do zadnego naturalnego porządku. Komediowo — to nie znaczy głupio. Można świat realny i zdrowy rozsądek podważyć łomem fantazji ale musi się wszystko zakończyć jakąś sensowną (w rozumieniu artystycznym) pointą (nb. co u licha za znaczenie posiada w „Niewidzialnej" służąca? odczynnik duchów? kochanka Karola? rywalka madame Arcati?) Nie panowie jestem zmartwiony, ale naprawdę nie umiałem się śmiać i to nie dla tego że jestem katolikiem. Niektórzy mili koledzy mi wmawiają że mój światopogląd że moja religia nie pozwala mi się śmiać z tej spirytystycznej farsy. O biedni. Tyle ma wspólnego moja wiara w życie pozagrobowe z pukającymi stoliczkami co ornitologia z brakiem oliwy w głowach ludzkich.

Przedstawienie pracowicie wyreżyserował niestety nie skracając sztuki, dyrektor **Stanisław Kwaskowski**. Role główne odtwarzały panie: **Wanda Stanisławska-Lothe**, która jako druga żona literata zdumiewała swoją zdolnością nudzenia małżonka oraz **Teresa Marecka** bardzo eteryczna zjawa pierwszej małżonki Karola — Elwiry, jawiąca się z za firany, czy z za kominka w sposób budzący blady strach; **Teresa Marecka** stworzyła postać tak sugestywną, że obawiam się iż w innych rolach trudno będzie na tę artystkę inaczej patrzeć niż poprzez kreację Elwiry. W madame Arcati — to jest w świetną wariatkę spirytystkę zamieniła się **Maria Strożyńska**, której należy się pełna pochwała. **Bronisław Kassowski** w roli pierw wojującego z żonami, a potem z duchami swych żon literata nie zawsze przejmował się serio tym co mówił i tym co robił, czemu się specjalnie nie dziwię. **Ewa Drozdowska** zagrała gapiowatą służącą, **Anna Jarecka** inteligentną paniusię chodzącą na plotkujące five o'clocki ze swym trzeźwym mężem — **Marianem Nowakiem**.

*

Ciekawszym wypadem recenzenckim był wyjazd do Opola na dwa drobiazgi połączone w jeden zupełnie udany wieczór teatralny. Opole nie posiada jeszcze swojego prawdziwego teatru; stary gmach dopiero się przebudowuje za sumę 13 milionów złotych. Ale Teatr Ziemi Opolskiej jak wiadomo w nowym sezonie upaństwowiony i podległy teatrowi katowickiemu, nie miał zamiaru próżnować i wynajął salę gimnastyczną w szkole powszechnej im. [illegible] przy ul. Mikołowskiej 21 i tam zbudowawszy prymitywną scenkę w formie szopki, daje przedstawienia. Dyrektor teatru opolskiego **Tadeusz Byrski** zorganizował [illegible] zespół artystyczny i sądzimy, że przy odpowiedniej energii, kulturze i pomysłowości będzie umiał należycie wypełniać zobowiązania artystyczne, społeczne i repolonizacyjne jakie na siebie przyjął, obejmując właśnie placówkę w stolicy Opolszczyzny.

W owej sali gimnastycznej, przerobionej na teatr, doskonale przygotowującej zespół na trudności, z jakimi się niewątpliwie spotka w swojej pracy wyjazdowej na prowincji opolskiej — można się nacieszyć prawdziwą sztuką. Bardzo dobrze wybrano repertuar dwu jednoaktówek. „Nawrócony" to pomysłowa inscenizacja noweli Bolesława Prusa o podkładzie wysoce umoralniającym, zaś pogodna bajka Brzechwy bawi i cieszy oko i ucho nie tylko młodszych widzów.

Teatr przedstawia w pierwszej sztuce człowieka skąpego i złego, który nie zrobił w swym długim życiu ani jednego czynu bezinteresownie, to znaczy z czystej, chrześcijańskiej miłości bliźniego. Człowiek ten umiera, jego dusza wędruje do piekła, tam się odbywa diabelski sąd, którego decyzja jest tragiczna: diabli nie chcą takiego sobka w piekle i wyrzucają go na wieczne, pełne niepokojów o majątek, życie na ziemi. Kiedy zły starzec wraca na ziemię do swej kamieniczki, przerażony sytuacją zaczyna czynić dobrze. Lecz nie długo tej poprawy. Niebawem przekonuje się bowiem że to był tylko sen, więc na nowo staje się wstrętnym niemiłosiernym wyzyskiwaczem. Reżyseria **Ireny Byrskiej** wydobyła z tej jednoaktówki wiele dobrych i ładnych scen, stosując silne choć nieprzesadzone efekty sceniczne (światełko wędrującej duszy szczęk łańcuchów diabelskich ognie piekielne itp.); gra zespołu była na ogół poprawna choć ten i ów artysta był słabszy; najwyraźniej, najlepiej zagrał p. Jerzy Block (ów zły egoistyczny staruszek).

O bajce **Brzechwy**, w której widzimy wszystko tak jak w ilustracjach Szancera (zdobiących tekst w wydaniu książkowym) nie będziemy pisać wiele, poprzestając jedynie na ogólnym stwierdzeniu, że owe przygody chłopca grającego na grzebieniu ze owe wyczyny bocianie mysie, wiewiórcze stonożne i ślimacze są przemiłe i wspaniale zinscenizowane przez **Irenę Byrską** a kulturalnie opowiedziane przez **Tadeusza Byrskiego**. Na bajce tej bawiliśmy się wszyscy wybornie, głównie z powodu kukiełek zwierzęcych które wykonał **Alojzy Smolka** (warto dodać miejscowy Opolanin, znany z pracy w przedwojennym polskim teatrze kukiełkowym w Opolu). Z artystów pozwolę sobie wymienić tylko **p. Lidię Kownacką**, która zrobiła bajkowego Tomka Dropsa romantycznie i zawadiacko; reszta artystów posiadała role króciutkie. Wszystkie były wszakże wykonane bez zarzutu, odpowiednio stroiły do całości.

Z takim repertuarem objazd miasteczek opolskich nie budzi żadnych zastrzeżeń, przeciwnie dowodzi zrozumienia potrzeb terenu.

Zbyszko Bednorz.

Przełożyła Jadwiga Bułakowska

czechosłowackiej

Zagadnienie wzajemnych stosunków na odcinku kultury nabrało specjalnego znaczenia zwłaszcza po pierwszej wojnie światowej, kiedy Czesi i Słowacy zdecydowali połączyć się w wspólne państwo. Mimo to jednak forma tych stosunków nie była jeszcze definitywna, było to raczej przygotowanie do definitywnego rozwiązania zagadnienia. Kultura słowacka, hamowana dotąd w rozwoju przez obcy rząd, musiała najpierw wytworzyć swe własne organa kulturalne i potrzebne instytucje: szkolnictwo słowackie, teatry itp. Dopiero zakończenie drugiej wojny światowej przyniosło ostateczną i istotną wspólnotę kulturalną Czechosłowacji. O tym jeszcze będziemy mówili.

Wymienione tutaj trzy zasadnicze rysy kultury czechosłowackiej nie są oczywiście jedyne, ale są najbardziej ważkie. Forma ich i wzajemne na siebie oddziaływanie zmieniają się naturalnie w różnych okresach czasu. Słusznym więc będzie, abyśmy — zanim jeszcze przystąpimy do scharakteryzowania dzisiejszego stanu kultury czechosłowackiej — poświęcili chociażby pobieżną uwagę okresowi bezpośrednio przeszłemu, a więc okresowi pierwszej republiki.

Po roku 1918 kultura czechosłowacka znalazła się w ostrym nurcie rozwojowym, zwłaszcza jeżeli chodzi o kulturę czeską. Minął już bowiem ten okres, gdy zaledwie ona sama reprezentowała twórczość narodową — teraz pozbywszy się ciążących na niej wielu niewłaściwych jej obowiązków mogła ona już być samą sobą. Już w ostatnim dziesięcioleciu niewoli austriackiej nadrobiła ona opóźnienie w rozwoju, jakie charakteryzowało zresztą cały zlepek austriacki. Po roku więc 1918 czeska wiedza i czeska sztuka zaczynają przenikać na forum światowe — już nie tylko w formie wyjątków lub wyłącznie za niemieckim pośrednictwem. Znaczną ilość autorów czeskich przełożono na języki obce, nowoczesna architektura czeska stanęła w rzędzie przodujących w Europie, awangarda teatrów czeskich utrzymała się w konkurencji międzynarodowej, wyższe szkolnictwo czeskie zdobyło na terenie międzynarodowym ustaloną markę. Ludowość kultury czeskiej i słowackiej okresu pierwszej republiki przejawia się nie w przystosowaniu poziomu twórczości do potrzeb szerokich konsumentów, ale w niezwykłym wzroście szeregów odbiorców dóbr kulturalnych, pochodzących z najprzeróżniejszych środowisk i warstw, odbiorców zdolnych do przyjęcia i najwyższych wartości kulturalnych.

Mówiliśmy już o Słowacji, ze w tym okresie tworzyła ona swe organa kultury; potężniejąc z roku na rok pozbywała się kultura słowacka bardzo szybko resztek kulturalnych wpływów węgierskich. Na całokształcie kultury czechosłowackiej w tym okresie widać dojrzewanie do osiągnięć szczytowych: wykańcza się zakładanie fundamentów pod to, by kultura czechosłowacka mogła śmiało stanąć obok potężnych, indywidualnych kultur europejskich.

Pęd ten przerwała niespodziewanie okupacja niemiecka. Zerwała ona żywy kontakt sztuki i kultury z życiem w ogóle. Zgodnie z wolą okupanta sztuka — o ile już nie miała brać udziału w jego ponurym dziele — miała przynajmniej być środkiem zapomnienia, miała otępić i usypiać przeznaczony na zniszczenie naród. A jednak sztuka, właśnie w swych najwybitniejszych przejawach, mimo wszelkich usiłowań wroga, pracowała w zupełnie odwrotnym kierunku: krzewiła wiarę i umiłowanie wolności, nawoływała do oporu:

Te wiersze nie ugną się zbytnio,
chociaż mówią: grają w pustej sali,
chociaż mówią: kłąb dymu bez ognia,
grajmy dalej...

Tymi słowy poeta Halas określił moralną postawę poezji czeskiej w chwilach najgorszych.

A kiedy nieustępliwego oporu nie można było już pokonać inaczej, zaczęło się zabranianie publikowania podejrzanych autorów, potem zamykanie czasopism, ograniczanie akcji wydawniczej, zamykanie teatrów. Szkoły akademickie zlikwidowano już na początku okupacji. Straty w szeregach pracowników kultury były duże, lista zamordowanych i zamęczonych obejmuje i nazwiska najprzedniejsze: Władysława Vanczury, literata, Józefa Czapka, malarza i literata, Juliusza Fuczika, dziennikarza i publicysty, Jarosława Kratochwila, literata i wielu wielu innych. Także i wiedza poniosła wielkie ofiary w ruchu oporu, zwłaszcza uniwersytet w Brnie stracił wielką część swych profesorów: jeden z wydziałów prawie wszystkich, dalsze poważne ilości. Mimo to jednak praca kulturalna za czasów okupacji nie ustawała: poza wydawaniem nowych dzieł wznowiono wielu starszych i zupełnie starych, sztuki plastyczne wzbogaciły się paru bardzo szczegółowymi monografiami o dawniejszych malarzach czeskich; nawet i teatry sięgnęły po dawniejszy, nieraz nawet i średniowieczny repertuar. Celem tej właśnie retrospekcji — której początek datuje się już z lat ostatnich pierwszej republiki, z okresu grożącego niebezpieczeństwa wojny — było oprzeć postawę i wiarę narodu na tysiącletniej nieprzerwanej kulturze czeskiej.

Niepodległość państwowa na Słowacji — jakkolwiek iluzoryczna — umożliwiła względnie swobodną rywalizację prądów reakcyjnych i postępowych, tak w dziedzinie wiedzy jak i w sztuce. Zaznaczyła się przy tym tak estetyczna jak i artystyczna przewaga prądów postępowych, które — na przekór reakcyjnemu reżimowi — w trakcie prześladowań i w warunkach wysoce nie sprzyjających, potrafiły wytworzyć godne uwagi wartości. Gdy nadszedł koniec wojny, obie kultury, pozbawione z konieczności możliwości wzajemnego kontaktu, znalazły się na tym samym w stosunku do rozwoju światowego poziomie. Rozdział, o jakim myśleli niemieccy okupanci, nie nastąpił, albowiem droga, jaką obrała podczas wojny kultura słowacka, była konsekwencją dwudziestoletniego współżycia z okresu przedwojennego, była skutkiem wysiłków postępowych działaczy kulturalnych. Kultura słowacka podczas wojny szła po tej samej drodze, co kultura czeska.

Kiedy po zakończeniu wojny opadło radosne odurzenie pierwszych dni, kiedy wygasło rozpaczliwe uczucie okupacyjnej niewoli, pierwszym dążeniem było: usunięcie skutków niewoli przez powrót do przedwojennego stanu. Wnet się jednak okazało, że czas w okresie okupacji bynajmniej nie stanął, jakkolwiek miał obrzask zgnilizny — jak stojąca woda. Przeciwnie: w stosunku do poprzedniego okresu, okres powojenny zdawał się jakoś przyśpieszać tempo czasu. Przez unarodowienie przemysłu zmieniają się warunki materialne kultury, zmienia się od podstaw stosunek między twórczością kulturalną a robotnikami, zmienia się wreszcie wzajemny stosunek ludzi. Przemiany te powodują zasadniczy przewrót w myślach i uczuciach: wiele pojęć zasadniczych i aspektów krytycznych, które dotąd uważane były za oczywiste, przestały być oczywiste. Dzień po dniu odkrywa się, pod naleciałościami pewnych konwencji, prawdziwy sens rzeczy, potwierdzony niezbicie przez rzeczywistość. A wszystko to stwarza dla sztuki i myśli naukowej nowe perspektywy. Jako zjawisko przejściowe pojawia się chwilowa niepewność, mnożą się i powtarzają się chronicznie spory co do podstawowych pierwiastków kultury. Więc na przykład spór o „orientację" kulturalną: wschodnią czy zachodnią, oraz od czasu do czasu zbyt głośne stawianie kwestii wolności w tworzeniu dóbr kulturalnych, której zresztą nikt i nic nie ogranicza.

A jednak pod powierzchnią błahych przejawów codziennych spokojnie i systematycznie narasta proces przebudowy kulturalnej. Podlegają mu także i ci, którzy w stosunku do niego mają zdecydowane zastrzeżenia. Nie można powiedzieć, by kultura czechosłowacka nie zdawała sobie sprawy z ważności tych zmian i stawianych przez nie wymogów. Jako jeden, ale bardzo charakterystyczny przykład przytoczmy parę zdań z manifestu, przyjętego jednogłośnie przez Zjazd Literatów Czeskich w lecie roku 1946:

„Spotykamy się w chwili, kiedy Ustawodawcze Zgromadzenie Narodowe ma zabezpieczyć zdobycze rewolucji narodowej i nakreślić plan budowy państwa socjalistycznego. Jako rzecznicy ludu, który jest źródłem wszelkich sił państwa, z którego płyną i wszelkie nasze siły ducha, radośnie i świadomie stajemy do pracy przy tym dziele. Uroczyście zgłaszamy swój udział w pracy nad wykonaniem dwuletniego planu odbudowy, który ma na celu utrwalenie naszej przyszłości... W ładzie społecznym, w którym będziemy współpracowali, zniknie rozdział pomiędzy jednostką i społeczeństwem, albowiem rozwój jednostki i rozwój społeczeństwa wzajemnie do siebie zależą... Z całą stanowczością występujemy przeciwko niecelowemu, po prostu abstrakcyjnemu humanizmowi liberalistycznemu, przeciwstawiając mu humanizm nowy, socjalistyczny, walczący o wyzwolenie żywego człowieka i społeczności ludzkiej. Widzimy w tym ciągłość i rozwój najpiękniejszych czeskich tradycji, wywodzących się od Husa i Komenskego a poprzez Hawliczka, Macha, Niemcową i Nerudę wiodących do modernistycznych czeskich autorów, którzy zginęli z walce z faszyzmem. I w tym duchu łączymy się z postępowymi dążeniami całego świata, w którym Związek Radziecki jest najżywszym ogniskiem, walczącym o nową ludzkość."

Świadomość znaczenia sytuacji społecznej i kulturalnej, jaka zamyka się w tych słowach, nie określa jeszcze rozwiązań natury artystycznej i naukowej. Napięcie pomiędzy tendencjami do odnowienia stanu poprzedniego, a wysiłkami w kierunku przebudowy kulturalnej na nowych zasadach — nie dojrzało jeszcze do syntezy ostatecznej. Dlatego też — jak wspomnieliśmy już na początku tego artykułu — dzisiejsze życie kulturalne w Czechosłowacji ma raczej charakter bystro płynącego nurtu a nie szczytowego, trwałego już stanu. Warunki, jakie składają się na tok i kierunek tego nurtu, są bardzo skomplikowane, nie podobna więc ich tu wyliczać ani też charakteryzować. Należałoby jednak wspomnieć chociaż o dwu bardzo istotnych okolicznościach.

Pierwsza z tych okoliczności to **radykalna przemiana stosunków pomiędzy kulturą czeską i słowacką**, jaka się dokonuje w chwili obecnej. Mianowicie dotychczas w stosunku tym kultura czeska zajmowała zawsze miejsce przodujące, nawet wówczas, gdy w połowie ubiegłego stulecia kultura słowacka usamodzielniła się pod względem językowym. Nie mamy zamiaru umniejszać ważności faktu, że już w czasach wspólnego języka literackiego miała Słowacja we wspólnej kulturze swój poważny udział, czasem nawet decydujący. Na przykład w okresie czeskiego odrodzenia narodowego, kiedy wydała z siebie twórcę Jana Kollara i uczonego Pawła Józefa Szafarzika, wielkich budowniczych wspólnoty słowiańskiej, kiedy wychowała morawianina Franciszka Palacky'ego, największego historyka czeskiego. Ale dopiero dziś stanęły obok siebie dwie kultury narodowe w pełnym rozwoju, nie zmierzające bynajmniej do wzajemnego oddalania się, ale przeciwnie — do jak najmocniejszego złączenia się. Nie chodzi bynajmniej o to, by któraś z nich miała wyzbyć się swojej indywidualności, przeciwnie: by jedna i druga wzbogacały możliwości twórcze wspólnych ideałów. Nie chodzi tu także o ogólne stosunki czesko-słowackie — ale o ścisłą współpracę w poszczególnych gałęziach twórczości kulturalnej. Konieczność tej współpracy tkwi nie w przyszłości, lecz we wspólnocie celów.

Drugą okolicznością, która posiada duży wpływ na dzisiejszy kierunek kultury czechosłowackiej, jest **ogólnosłowiańska współpraca kulturalna.** W życiu kulturalnym Czechosłowacji pierwiastek ten nie jest bynajmniej nowy, właśnie bowiem Słowak, Jan Kollar, literat czeski, stworzył pierwszą koncepcję wspólnoty słowiańskiej: od tego czasu koncepcja słowiańska była stale bardzo aktywnym motywem w rozwoju kultury czeskiej i słowackiej. Lecz także i pojęcie wzajemności słowiańskiej zdecydowanie zmieniło swe kształty. Główną jego podstawą jest już dziś nie tylko pokrewieństwo etniczne i językowe, ale także — i to przede wszystkim — świadomość wielkich, wspólnych zadań, jakie przypadły narodom słowiańskim przy przebudowie świata i zakładaniu fundamentów trwałego pokoju. W jaki sposób kultury słowiańskie — a wśród nich i czechosłowacka — rozwiną się pod wpływem tejże wzajemności słowiańskiej, to zagadnienie przyszłości. W chwili obecnej wyrazić można tylko zdecydowaną nadzieję, że proces odrodzenia, jaki przechodzi dziś kultura czechosłowacka, wejdzie na tory rozwoju przerwanego przez wojnę i stworzy z kultury czechosłowackiej poważny czynnik w słowiańskim społeczeństwie kulturalnym.

Przełożyła
Jadwiga Bułakowska

Kronika ilustrowana



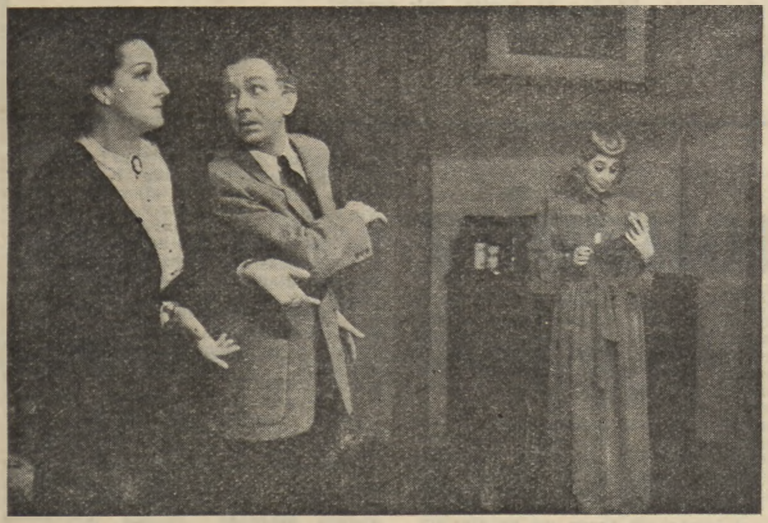
Scena z nowego filmu produkcji czeskiej „Daleka droga" pokrewnego tematycznie naszemu „Ostatniemu etapowi" Na zdjęciu Sonia Szulcova w roli katowanej przez hitlerowców, młodej Żydówki Ellen.



Teatr Młodego Widza w Pradze wystawia z powodzeniem bajkę Juliusza Słowackiego „O Janku, co psom szył buty", przerobioną dla sceny przez Krystynę Barwińską.



W Pradze odbywa się premiera „Odwetów" Kruczkowskiego. Na zdjęciu Ewa Klenova jako Matylda.



Teatr Polski w Bielsku i Cieszynie wystawił „Niewidzialną" Noela Cowarda. Na zdjęciu: Wanda Stanisławska, Bronisław Kassowski i Teresa Marecka.

Wśród CZASOPISM

Dziś trzeba zwrócić uwagę na Wrocław. Stał się on siedzibą sporej grupy pism przede wszystkim naukowych o charakterze ogólnopolskim a w niektórych wypadkach nawet i międzynarodowym. Przypuszczam, że nie będzie w tym przesady, gdy nazwiemy to miasto najsilniejszym skupieniem polskiego czasopiśmiennictwa naukowego. Niewątpliwie gra tu pewną rolę i stan przemysłu poligraficznego na Dolnym Śląsku, ale główna przyczyna tego wspaniałego zjawiska leży w ogromnej aktywności wrocławskiego środowiska naukowego skupionego wokół uniwersytetu i politechniki.

Pragnę tu wspomnieć o dwóch pozycjach, które Wrocław dał nam ostatnio. Jedna z nich to periodyk dosyć osobliwy, bo rocznik i to ukazujący się po przerwie aż dwudziestoletniej. Chodzi o tom III *Rocznika Zakładu Narodowego im. Ossolińskich* za rok 1948. Pierwsze dwa tomy tego *Rocznika* ukazały się w latach 1927 i 1928 pod redakcją Ludwika Bernackiego. Rocznik obecny zredagował Marian Jakóbiec.

Jak wspomnieliśmy, pismo to na prawdę osobliwe, tym bardziej osobliwe, że jego początki datują się właściwie sprzed lat 120, z roku 1928, kiedy to zaczął wychodzić pierwszy organ Zakładu Narodowego Ossolińskich „Czasopismo Naukowe Księgozbioru Publicznego Im. Ossolińskich", kontynuowane z przerwami pod innymi tytułami w latach 1842—1844, 1847—1848, 1862—1869. Dalszym nawiązaniem do tradycji były właśnie owe dwa *Roczniki* wydane przez Bernackiego.

Najnowszy *Rocznik* przedstawia się imponująco. Blisko 650 stron druku, piękny papier i estetyczny układ graficzny, ilustracje — oto jego cechy zewnętrzne przypominające piękne tradycje wydawnicze Zakładu, który dbał zawsze o to, by publikacje jego miały swój aryginalny wygląd i styl typograficzny. O treści czytamy w nocie wstępnej: „przystępując do jego („Rocznika") publikacji zwróciliśmy się z apelem o współpracę do rzeszy obecnych i dawnych współpracowników Ossolineum oraz do członków Towarzystwa, jego Przyjaciół, dając w ten sposób możność skupienia się na łamach naukowego pisma rozsianym po Polsce Ossolińczykom. Nadesłany materiał, różnorodny pod względem tematów, wymagał usystematycznienia. Na czoło więc wysunęliśmy trzy rozprawy Mickiewiczowskie, składające w ten sposób hołd Poecie w jego roku jubileuszowym i nawiązując do dawnych i świetnych tradycji kultu Wieszcza w Osolineum. Dalej, zgodnie z charakterem naukowym Zakładu, zamieściliśmy rozprawy historyczno-literackie, językoznawcze, historyczne, słowianoznawcze, wreszcie prace z dziedziny sztuki. Na końcu znalazły się Ossoliniana: artykuły poświęcone ludziom i sprawom Instytutu. Dział ten kończy szkic z dziejów Ossolineum w ostatnich latach dwudziestu.

Dział Mickiewiczowski *Rocznika* przynosi prace Juliusza Kleinera, Stefana Kawyna i Mariana Jakóbca. Prof. Kleiner daje fragment większego studium o stylu poetyckim Mickiewicza i Słowackiego zatytułowany „Z zagadnień metaforyki Mickiewicza i Słowackiego". Stefan Kawyn, którego nazwisko poloniści pamiętają doskonale choćby z wielu cennych pozycji przedwojennego, niezapomnianego „Ruchu Literackiego", daje interesujące informacje z zakresu dziejów sławy Mickiewicza w pracy „Mickiewicz — Towiańczyk w zwierciadle satyry emigracyjnej". Marian Jakubiec daje szczegółowy opis i charakterystykę autografu jednego z najobszerniej dotychczas omawianych pism francuskich Mickiewicza, rękopisu wspomnienia o Puszkinie. W dziale „Z dziejów literatury polskiej" czytamy źródłowe studium genetyczne prof. Tadeusza Mikulskiego o bajkach wschodnich Krasickiego, niezwykle ciekawe dla zagadnienia wpływu literatury na społeczeństwo, studium Antoniego Knota „Dzieje śpiewów historycznych" J. U. Niemcewicza, oraz specjalnie zasługującą na uwagę pracę prof. Juliana Krzyżanowskiego „Autograf „Potopu" H. Sienkiewicza". Krzyżanowski, który przygotowuje teksty Sienkiewicza do zbiorowego wydania zapowiedzianego przez Państwowy Instytut Wydawniczy, omawia zachowaną część rękopisu „Potopu", znajdującą się w zbiorach Ossolineum". Systematycznie na podstawie zachowanego materiału rękopiśmiennego zniekształcenia, jakie pojawiają się w książkowych wydaniach tej powieści i podejmuje charakterystykę techniki pracy pisarskiej Sienkiewicza. Okazuje się, że wydania książkowe przez swe liczne zniekształcenia poważnie odbiegają od autografu, że wszystkie te zniekształcenia bądź pochodzenia korektorskiego, bądź powstałe z omyłek i przeoczeń obniżają artystyczną wartość tekstu. Autor stwierdza na podstawie autografu, że Sienkiewicz pracował bardzo systematycznie, wykazywał w tej pracy duże zdyscyplinowanie, że zawsze sięgał po słowo, porównanie i obraz najbardziej trafne.

Nie sposób wymienić tu wszystkich krótszych już prac z działu językoznawstwa, historii, dziejów sztuki. Przynoszą one bogaty i różnorodny materiał, z którego wyszczególnić chciałbym jeszcze cenną dla nas rozprawę Tadeusza Stanisława Grabowskiego „Rok 1848 na Słowacczyźnie". Rzuca ona światło na wypadki mało u nas znane a dla historii Słowaczyzny mające znaczenie decydujące.

W dziale Ossolinianów zainteresować może szczególnie autobiograficzne wynurzenie jednego z naszych najwybitniejszych dziś pisarzy Jana Parandowskiego „Moje początki literackie". Dalej Wiktor Hahn pisze o Karolu Szajnosze jako autorze dramatycznym. Wł. Chojnacki o Wojciechu Kętrzyńskim i jego stosunku do Mazurów, a Franciszek Pająkowski daje obraz losów Ossolineum w latach 1928—1948.

Rocznikowi Zakładu Ossolińskich życzyć by trzeba, by z rokiem 1948 zapoczątkował nowy długi okres swego istnienia dając w ten sposób jeszcze jeden dowód odbudowania się Zakładu po przejściach wojennych. Dalsze *Roczniki* przyniosą mają przede wszystkim prace oparte na nie wyzyskanym bogactwie zbiorów Zakładu. A wiemy, że bogactwo to, zwłaszcza dla dziejów literatury polskiej, jest niezmierne. Przekonała nas o tym rok temu wspaniała wystawa „Literatura polska w rękopisach Ossolineum".

Drugą pozycją, którą wynotowujemy z ostatniego dorobku czasopiśmiennictwa Wrocławia jest trzeci tom *Zeszytów Wrocławskich* za okres lipiec — wrzesień 1948. Tym razem Zeszyty spóźniły się, ale być może, że wyrównają to spóźnienie wydając jeszcze w grudniu numer czwarty. Tym razem *Zeszyty Wrocławskie* słusznie przezwyciężyły tendencję do rozdymania numerów ograniczając się do 10 arkuszy druku. Wprowadziły jednak wkładki ilustracyjne, które wzbogacają wydawnictwo. Z ilustrowanych nimi artykuł A. Jochelsona o Placu Nankiera we Wrocławiu oraz omówienie sprawozdawcze „Plastyka Wrocławska" (8 reprodukcji prac plastyków miejscowych we Wrocławiu). Można by powiedzieć, że ton numerowi nadają sprawy hiszpańskie jako dalsze jeszcze echa czterechsetnej rocznicy urodzin Cervantesa. Składa się na nie kilka naprawdę wartościowych pozycji. Stanowią je: „Zagadka Don Kiszota" Zofii Szmydtowej, Azorina „Na śladach Don Kiszota", świetny fragment książki W. S. Maughama „Don Fernando czyli wariacje na tematy hiszpańskie" oraz rzecz dosyć niezwykła, artykuł Mariana Łodyńskiego o zmarłym około r. 1514 typografie polskim w Hiszpanii, Stanisławie Polaku, który w latach 1491—1504 tworzył podwaliny pod wspaniałą sztukę drukarską na ziemi hiszpańskiej, podczas gdy u nas to samo robili mistrzowie niemieccy. Niemniej interesująca jest pozostała część numeru z artykułami M. Jakóbca o radzieckiej nauce i literaturze, Juliusza Kleinera „Z autografów Słowackiego", H. Słonimskiej o K. Twardowskim, Ryszarda Skulskiego o zapomnianym poecie krakowskim sprzed stu lat Gustawie Ehrenbergu. Części historyczno-literackiej dopełnia artykuł o Wiośnie Ludów w literaturze czeskiej (Z. Hierowski). Twórczość oryginalną reprezentują tym razem: Tadeusz Borowski i W. Żukrowski dwoma krótkimi opowiadaniami oraz radko ostatnio drukujący Julian Przyboś wraz z wrocławskim debiutantem Janem Pierzchałą. Tu też znajdujemy przekład „powiastki" Diderota i fragmenty „Pieśni o źle kochanym" G. Apollinaire'a. Końcową część numeru zajęła tym razem podsumowana wystawą i kongresem intelektualistów kronika z uszczerbkiem dla zawsze ciekawego w Zeszytach działu recenzyjnego.

Skończyła się wystawa Ziem Odzyskanych, przeminął Kongres Intelektualistów, ale Wrocław swoją pracą każe nam o sobie ciągle pamiętać. Pamiętajmy i cieszmy się szczerze bujnym życiem kulturalnym tego miasta, które jest „znowu nasze" (Mickiewicz chyba przebaczyłby użycie tych jakże zwięzłych słów w tym innym zastosowaniu).

(ki)



Obie świątynie Wolina leżą dziś w gruzach ..
(Z wędrówki ekipy naukowej Instytutu Zachodniego po Pomorzu Zachodnim. Zdjęcie z Archiwum Instytutu Zachodniego w Poznaniu, wykonał E. Kitzman. Patrz art. na stronie 3)

„Sobótka"



ANTONI KNOT

Wrocław, miasto Bogumiła Korna, otrzymał w spadku po wieku XIX świetną tradycję polskiego drukarstwa. Tradycja ta, zrazu jakby zapomniana, zaczyna odżywać obecnie, przede wszystkim za sprawą Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, który wyrasta we Wrocławiu na najsilniejszy i najbardziej zasobny ośrodek wydawniczy.

Już poprzednio jednak, w ciągu roku 1946 Wrocław jął specjalizować się jako centrum czasopiśmiennictwa naukowego. Żywy ruch badawczy, powstały wokół katedr uniwersyteckich, szukał dla siebie naturalnych form publikacji. Warsztaty uczonych wrocławskich nie dawały jeszcze książek, drukarnie miejscowe nie były zrazu zdolne do produkcji dziełowej. Ale czasopismo mieściło się łatwo w możliwościach środowiska. W ten sposób Wrocław wyrósł na żywy i ambitny ośrodek pracy redakcyjnej we wszystkich niemal dziedzinach nauki. Tu bowiem — by posłużyć się przykładami najbardziej wyrazistymi — wychodzi drukiem „EOS" sędziwy organ Polskiego Towarzystwa Filologicznego wskrzeszony zasługą Jerzego Kowalskiego, i „COLLOQUIUM MATHEMATICUM", pismo matematyków wrocławskich które pod redakcją Edwarda Marczewskiego wkroczyło na rynek europejski i może być wzorem pomysłowych i precyzyjnych rozwiązań graficznych.

Z tej półki czasopism wrocławskich, wypełnionych po same brzegi, bierzemy organ Wrocławskiego Towarzystwa Miłośników Historii pt. „SOBÓTKA", który w formie półrocznika rozpoczął już trzeci rok swojego wydawnictwa (I — 1946, II — 1947 III — 1948). Tytuł czasopisma przypomina periodyki epoki romantyzmu, operujące podobną metaforą. Ale nazwa kultowej góry Śląska pojawia się na karcie tytułowej „Sobótki" wraz z całym otoczem wyobrażeń historycznych, które do niej przylgnęły, i wyraża także — program pisma. „Sobótka" służy historii regionalnej ziemi, na której osiadł Uniwersytet Wrocławski. Chce wydobyć z przeszłości Śląska — politycznej i kulturalnej — wszystkie argumenty, które mogą uzasadnić jego przynależność do Rzeczypospolitej. W tym zakresie grupa redakcyjna „Sobótki" odrabia całe dzieło historiografii niemieckiej, budowane na wrogości sąsiedzkiej. Cel ten osiąga nie na drogach polemiki naukowej, nie zawsze przekonywającej i skutecznej. Historycy wrocławscy dążą przede wszystkim do uzyskania nowej podstawy źródłowej w niezbadanych dotychczas archiwaliach. Patrząc na prace, ogłaszane w „Sobótce", widać jasno przebieg tego procesu opanowywania obszarów historycznych, które znajdowały się na peryferiach polskiej historiologii w okresie międzywojennym. Roczniki „Sobótki" pokazują wyraźnie, jak nasza świadomość historyczna wchłania i przepracowuje — Śląsk.

Tematyka czasopisma nie posiada granic zbyt rygorystycznych. Centrum zainteresowań grupy naukowej stanowi Śląsk oczywiście i programowo, w Śląsku zaś — Wrocław, jako przedmiot specjalnych studiów i poszukiwań. Pod tym względem rozprawa Karola Maleczyńskiego „Herb miasta Wrocławia" ogłoszona w pierwszym roczniku „Sobótki" (I, 1946, 1) otwiera pismo trafnie i celowo. Śląsk historyczny nie jest ziemią izolowaną. Jego związki z Polską stanowią naczelne zagadnienie pisma. Z roczników „Sobótki" można wydobyć długi szereg rozpraw i materiałów, które problem ten stawiają i rozwiązują. Poprzestaniemy — dla przykładu — na wskazaniu rozprawy Władysława Czaplińskiego „Pierwszy pobyt Jerzego Lubomirskiego na Śląsku, 1664—1665" (I. 1946. 1) który dysponuje w swoich pracach zupełnie nowym materiałem źródłowym i umie na nim oprzeć odkrywczą konstrukcję historyczną.

Śląsk w publikacjach „Sobótki" jest pomostem, rzuconym na Łużyce. To inny przedmiot uwagi pisma. Tego wachlarza zainteresowań dopełniają Czechy. Tematyka czeska przewija się raz po raz przez historiografię śląską. Wychodząc z tego materiału, „Sobótka" podejmuje ogólnie zagadnienia związków politycznych i kulturalnych polsko-czeskich. Świadczy o tym rocznik II pisma (1947) oddany w dużej mierze problemowi polsko-czeskiego pogranicza w dziejach i kulturze (prócz kilku piór polskich redakcja umiała pozyskać znanego historyka czeskiego, Józefa Macurka, który ogłosił w „Sobótce" rewelacyjną dla polskiego czytelnika rozprawę „O polsko-czeska wzajemność w dobie czeskiego powstania w latach 1618—1620"). Tak więc Śląsk w przedstawieniu „Sobótki" stanowi ziemię ukazaną w licznych powiązaniach terytorialnych, narodowych i politycznych z Polską, Czechami i Łużycami — kraj dynamiki historycznej, niebadany w tej roli i postaci.

Dzieje polityczne na kartach „Sobótki" znajdują swoje uzupełnienie w kulturze. W tym zakresie jako pole szczególnej uprawy naukowej wysuwa się szkolnictwo. „Sobótka" ogłosiła kilka ważnych rozdziałów do historii polskiej Uniwersytetu we Wrocławiu. Dla wielu powodów zdobywa on sobie miejsce w kulturze naszej wieku XIX. Wysoki walor źródłowy posiadają badania Henryka Barycza który ukazuje „Polską młodzież akademicką we Wrocławiu przed powstaniem styczniowym, 1858—1863" (I. 1946. 2). W tej grupie wyróżniają się twarze zarówno uczniów, jak nauczycieli. Spośród znakomitych studentów wrocławskich Bogdan Zakrzewski przedstawił Józefa Przyborowskiego zasłużonego później historyka i bibliografa, na studiach we Wrocławiu (II. 1947). Postać Władysława Nehringa, założyciela polskiej szkoły filologicznej we Wrocławiu gdzie stała kolebka polonistyki pozytywistycznej studiują kolejno na nowym materiale źródłowym Wiktor Hahn („Władysław Nehring w ostatnich latach życia", I 1946 2), który przechował korespondencje osobistą, prowadzoną z Nehringiem na przełomie stuleci, i Tadeusz Mikulski („Z papierów Wł. Nehringa", II. 1947), który dał opis dochowanego szczęśliwie w gruzach wrocławskich archiwum domowego Nehringa.

W tej samej rubryce: nowych zupełnie materiałów do dziejów polonistyki wrocławskiej trzeba położyć „Księgozbiór wrocławskiego polonisty Daniela Vogla" w starannym opracowaniu Mieczysława Waltera (II 1947). Inwentarz książek polskich Vogla (1742—1829), nauczyciela języka polskiego w gimnazjum Marii Magdaleny we Wrocławiu, miłośnika i badacza polszczyzny, stanowi jeden z najcenniejszych dokumentów do określenia stanowiska kultury polskiej nad Odrą.

Wreszcie z roczników „Sobótki" dobywamy obszerny „Zarys dziejów drukarstwa na Dolnym Śląsku" Bronisława Kocowskiego (II, 1947), doprowadzony do schyłku wieku XVIII. Studium to najrychlej powinno być rozszerzone do rozmiarów dużej książki. Autor wprowadza do dziejów polskiego drukarstwa teren powiązany z nim od dawna i wielorako. Rozprawa B. Kocowskiego, oparta na badaniach niemieckich stanowi punkt wyjścia do wszelkich studiów szczegółowych nad historią książki na Śląsku. Historyk życia literackiego który ma dość powodów, by otwierać czasopismo, wynotuje z roczników „Sobótki" rozprawę Wiktora Hahna „Juliusz Słowacki w 1848 r." (III 1948. 1). Szkic W. Hahna kompletuje źródła m. in. do drugiego pobytu Słowackiego we Wrocławiu w r. 1848.

Przegląd obecny nie kusi się o wyczerpanie treści czasopisma. Ale przedstawiając kierunki i zaintersowania periodyku, ujawnia stałą obecność ręki redaktorskiej. Antoni Knot, redaktor „Sobótki", zapewnił pismu regularny dział recenzyj i kronikę wydarzeń bieżących, nade wszystko zaś konsekwencję i wybór materiału historycznego. Materiał ten układa redakcja w grupy rzeczowe, które poszczególnym rocznikom nadają cechę zwartą i jednolitą. Wyczytujemy to staranie z samego spisu treści: półrocznik 2 z r. 1946 służy szkolnictwu i kulturze umysłowej w dawnym Wrocławiu rocznik 1947 w dużej mierze zagadnieniom sąsiedztwa Polski i Czech, półrocznik 1 z r. 1948 (ostatni z ogłoszonych) rocznicy — jak przystało — Wiosny Ludów na Śląsku. Indywidualności redaktora, który posiada nazwisko w historii oświaty i kultury, zawdzięczą „Sobótka" swój rozwój w tych kierunkach. Pismo historyków wrocławskich utrzymuje bardzo szczęśliwie równowagę między historiografią polityczną i kulturalną.

Góra Sobótka służyła najpierw kultowi słowiańskiemu na Śląsku. Służyła później poezji, gdzie posiada ładną i ciekawą kartę, poznaną dotychczas fragmentarycznie. Teraz odwołał się do jej nazwy twórczy zespół historyków wrocławskich, który buduje nową wiedzę o Śląsku dla całego pokolenia.

TADEUSZ MIKULSKI.

Krótkie spięcia

Kaczusia

Sprawa tłumaczeń była już niejednokrotnie tematem rozmaitych rozważań, ale nie od rzeczy będzie nią się jeszcze raz zająć.

Punkt wyjścia: „Zaczarowana kaczka".

Brzmi to trochę à la Konstanty Ildefons, niemniej jednak „Zaczarowana kaczka" nie ma nic wspólnego z „Zaczarowaną dorożką", ani nawet z „Zieloną gęsią". „Zaczarowana kaczka" jest właśnie pewnym typowym przykładem tłumaczenia, ale oczywiście tłumaczenia od siedmiu boleści.

Mianowicie w warszawskim „Expresie Wieczornym" z początkiem grudnia ukazała się korespondencja z Paryża p. Pierre Chardon, tłumaczona w redakcji z oryginału francuskiego i w niej można się było natknąć na następujące passusy.

„Zaczarowana kaczka" demaskuje prowokacje rządu francuskiego. . .".

„Swoistą sensację wywołał artykuł, który ukazał się na pierwszej stronie paryskiego tygodnika satyrycznego „Zaczarowana kaczka".

„Jak się okazuje — pisze sprawozdawca „Zaczarowanej kaczki" . . .

„Rewelacje „Zaczarowanej kaczki" nabrały swieżej aktualności. . ."

Cóż jest do licha z tą „Zaczarowaną kaczką"? Co to jest ta „Zaczarowana kaczka"? Kto w Paryżu słyszał o tej „Zaczarowanej kaczce". . .?

Otóż w Paryżu wychodzi od wielu lat tygodnik satyryczny pod nazwą „Le Canard enchainé". Cóż to znaczy? Historia tej nazwy jest dosyć osobliwa.

Swego czasu Clemenceau wydawał pismo polityczne, noszące tytuł „L'Homme enchainé" — to znaczy po polsku „Człowiek związany", „Człowiek skrępowany", „Człowiek w kajdanach" (La chaine — łańcuch, enchainé — „złańcuszony"). Pismo było bardzo popularne, a tytuł też, w związku z czym, gdy pewna grupa satyryków postanowiła wydawać swój humorystyczny tygodnik, nazwała go dla persyflażu i z właściwym Francuzom poczuciem humoru „Le Canard enchainé", czyli związaną, skrępowaną, schwytaną — kaczką, kaczką w łańcuchach.

Sensu tej dowcipnej trawestacji nie ma co tłumaczyć. Jest dostatecznie jasny, aczkolwiek bardzo subtelny.

No i teraz z tej „Kaczki w łańcuchach" będącej persyfliżem „Człowieka w łańcuchach" i pewnego rodzaju satyrą na Clemenceau — zrobiono ni z tego ni z owego — „Zaczarowanx kaczkę".

Dlaczego?

Oto prawdopodobnie dlatego, że pomylono sobie wyrażenie enchanté — zaczarowany, z enchainé". I w ten sposób powstała — „Zaczarowana kaczka".

„Zaczarowaną kaczkę" należy zaliczyć do kaczek dziennikarskich gatunku dosyć specjalnego. Jest to bowiem kaczka, posiadająca nieco zbyt długie jak na kaczkę uszy, a przypominające uszy, noszone przez niektórych czworonogów. I p. Pierre Chardon, zresztą dość znany publicysta francuski, o ile rozumie nieco po polsku, po przeczytaniu swej korespondencji w „Expresie" napewno pomyśli, czy też już pomyślał o tej kaczce to samo.

No, a jeśli nie rozumie po polsku, to tym lepiej, dla niego i dla „Expresu". Bo zawsze panu Pierre Chardon byłoby bardzo przykro.

Na przyszłość jednak panowie tłumacze dziennikarscy — ostrożniej, ostrożniej z kaczkami i z niekaczkami! *NIEJAKI X*

TĘTNO NOCY



JERZY WALDORFF

Kto przeczytał napisany przez Jerzego Waldorffa dramatyczny pamiętnik Szpilmana ten chętnie sięgnie po świeżo wydaną powieść p. t. „Godzina policyjna". Czytelnika zwabią te same zalety pióra, sensacyjna niemal fabuła filmowa, szybkość akcji i zmienność widzenia gromady ludzkiej, ukazywanej coraz z innej strony, urzeknie zwartość konstrukcji, opanowanie rzemiosła pisarskiego.

Jeśli w pamiętniku Szpilmana był Waldorff zależny od prawdziwego przebiegu życia znanego pianisty, musiał dopasowywać rozmach pisarski do autentycznych wydarzeń, to w powieści mógł sobie pozwolić na swobodne przykrawanie wątków, przemieszczenie ich i wreszcie spiętrzenie w ciasnych ramach jednej nocy.

Akcja powieści dzieje się w ciągu dziesięciu godzin, widzimy gromadę ludzką spędzoną zarządzeniem niemieckim do domu, czekającą w nerwowym napięciu co noc przyniesie. Mamy tu przekrój przez całe społeczeństwo, od zamożnego parteru, dogrywającego dawną świetność, próbującego przyjęciem odgrodzić się od niebezpieczeństw, aż po ruiny pobliskie, gdzie dwoje dzieci zbiegłych z ghetta, wariat i prostytutka obrazują dno miasta przywalonego okupacją.

Jakże żałośnie wygląda ten salon, śmieszne postacie baronów z tytułu i przemysłu, szukających legalizacji dla ustępstw wobec wroga, gromada snobów, flirt, karty i obmowa. A piętro wyżej samotny bojowiec i matka, z którą nie może już znaleźć wspólnego języka. Przeżycia chłopca przerastają wszystko, czego mogła doznać matka. Jej histeryczna czułość wpędza chłopca w matnię.

Dalej u dna nocy toczy się zaciekła walka między oficerem Gestapo a pochwyconym konspiratorem. Osaczony pytaniami, wymyka się, kluczy, zaciera ślady. Ale noc jest długa, kryje w sobie tysiączne niebezpieczeństwa.

Dom jest od domu odcięty, nie można nikomu pospieszyć z pomocą, oto na cienkiej nici telefonu zawisa cała nadzieja zrozpaczonej kobiety, jest ona gotowa w każdej chwili odłożyć słuchawkę i wykonać to, przed czym się broni i czego zarazem tak bardzo pragnie. Przyjazny głos księdza ratuje ją tej nocy, ale czy następną, czy setną przetrzyma? Złe moce gromadzą się w ciemności, chłód, zdrada i śmierć, małe dzieci drżą ukryte we wnęce ruin, obłąkany przeżywa raz jeszcze swą klęskę, nawet szaleństwo nie uwalnia od cierpienia.

A jednak są jednostki, które walczą, ofiarują się za ten egoistyczny, skulony w sobie kłąb ludzi, a jednak u kresu nocy nawet w dziewczynie ulicznej zbudzi się poczucie narodowej i człowieczej wspólnoty, i ona zdobędzie się na gest, na odruch serca. Zapłaci stawkę najwyższą bez żalu.

Powieść Waldorffa ma wielu bohaterów, jeśli tak można nazwać ukazywane nam postacie. Każda z nich niesie swój los, a jednak dzieje wszystkich splatają się w tę jedną noc pełną grozy. Opowieść o każdym zespole jest pisana inaczej, jakby odmienność ich losów domagała się odrębnych form. Dzięki tej zmienności technik pisarskich jeszcze łatwiej łączymy sobie przetasowane wydarzenia, zestawiamy w jedną całość.

Przestawny tok narracji trzyma nas w napięciu, każda informacja nie tylko posuwa naprzód akcję, ale naświetla odmiennie losy sąsiednich zespołów. Technika ta, zbliżona do dobrych powieści sensacyjnych, gdzie autor nic nie mówi dla ornamentyki tylko wszystko zamyka się z ostatnią kartą w jednolitą całość. Wtedy dopiero ogarniamy i zaczynamy cenić konstrukcję, opanowanie rzemiosła pisarskiego.

Wojciech Żukrowski.

Jerzy Waldorff „Godzina policyjna" wydawnictwo **PANTEON**, str. 220, okładkę projektował art.-mal. M. Brzeski.

W następnych numerach „Odry" ukażą się m. in prace następujących autorów: Jerzego Andrzejewskiego, Jana Baranowicza, Stanisława Czernika, Stanisława Helsztyńskiego, Zdzisława Hierowskiego, Kazimierza Koźniewskiego, Anny Kowalskiej, Mariana des Logesa, Eugeniusza Paukszty, Henryka Worcella,Krystyny Wryczan i Wojciecha Żukrowskiego.

Grzebień na kołtun

(Dokończenie ze strony 1)

uczonością zasoby erudycyjne byłego kupca niemieckiego, wyniesionego na stanowisko gauleitera.

„Kultura" i „dzicz" — jak kto co nazywa i jak co kto woli. Okazuje się jednak niezbicie, że to najbardziej utarte w Polsce pojęcie kultury nie wyklucza degeneracji sadystycznej (Greiser); pojęcie natomiast „dzicz" ogarnia mądrość i uczoność (Gorki). — Ale co po tej uczoności naszemu mieszczuchowi! Na czynnik intelektualnotwórczy i na czynnik wiedzy nie kładziono bowiem nacisku w przedwojennej Polsce, która dotąd pozostawiła tyle śladów w naszym społeczeństwie, a miarą kultury był i jest jeszcze szykowny krój ubrania, obycie towarzyskie, („tip-top") i wystawny obiad imieninowy.

Toteż przed 1939 r. biblioteki publiczne były wypełnione prawie wyłącznie studentami, przygotowującymi się do egzaminów. W obecnej Polsce naukowa ciekawość, która objęła już świeże elementy ludowe, rośnie i rosnąć będzie, a biblioteki wypełniają się młodymi i starszymi spośród inteligencji, robotników i chłopów. Trzy stany spotykają się tu tak, jak razem budują Polskę. Toteż ucho nasze chwyta niby drażliwy dysonans świergoty wykolejonej inteligencji, tej co to błąka się poza twórczym trójprzymierzem, zachowując uroczysty dystans dostojników „kultury".

„Kulturalny", „kulturalnie", „kulturalnego", „kulturalnemu" — świergocą na rogach ulic ptaszki, zwijające przechodniom kołtun na głowie. — Jak wymyślić grzebień, które wyczesze kołtun?

„Kultura" nie jest kulturą

„Dzicz" nie jest dziczą

Ten dwuwiersz trzeba dać im do wyuczenia się na pamięć. Głowy mają władze umysłu źle wyćwiczone i mogą okazać trudność pamięciową. Ten dwuwiersz musi być powtarzany po sto razy, aby się wbił głęboko w rozum; ten dwuwiersz niech będzie grzebieniem, co wyczesze kołtun z reakcyjnej głowy.

KRYSTYNA WRYCZAN

Apel

Przygotowując antologię „Ziemie Odzyskane w poezji" wraz z rozległym szkicem informacyjnym, uprzejmie proszę autorów o nadsyłanie utworów poetyckich drukowanych lub przygotowanych do druku, związanych tematycznie nie tylko z krajobrazem ale również z procesami ogólnych przemian na obszarach odzyskanych.

STANISŁAW CZERNIK

Adres: WARSZAWA, MICKIEWICZA 18, m. 27

Wyd. „Czytelnik", 3 Maja 12. Redaktor naczelny WILHELM SZEWCZYK. Komitet redakcyjny: Zespół „Odry". Redakcja: Katowice, 3 Maja 36 a, II ptr. Telef. 325-58. Oddziały Redakcji: w Olsztynie: Jerzy Antoniewicz, OLSZTYN, ul. Kętrzyńskiego 4; — w Szczecinie: Stanisław Telega, SZCZECIN, ul. Waryńskiego 32. Rękopisów nie zamówionych Redakcja nie zwraca. Administracja: Katowice, ul. Młyńska 9, Wrocław, ul. Kościuszki 49, tel. 253. — Prenumerata mies. 60 zł, kwartalna 180 zł. Konto PKO III 4950. Ogłoszenia przyjmuje Sp. Wyd. „Czytelnik". Złożono i odbito w drukarni nr 9, Sp. Wydawn. „Czytelnik", Katowice 3 Maja 12. Tel. 309-73, wewn. 08 R — 60525